AS



Nr. 16.
19 KWIETNIA 1936 R.
CENA 10 GROSZY

W ZAWROTNEM TEMPIE...

Mistrzowska para taneczna Ginger Rogers

Nasz nowy konkurs

na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki





P. Tosia Z. z Krakowa, podczas wycieczki na wodach Popradu.

Powyżej:
P. Ada Janczewska z Warszawy na starcie biegu narciarskiego w Zakopanem.

Poniżej:
P. Wisia Zasadzianka z Krakowa, w czasie pobytu w Zakopanem.



P. Mieczysława Lhotska — Lwów.





P. Zofja Kułakowska — Włodzimierz.

Kupon do głosowania na stronie 30-tej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 16 **Niedziela 19 kwietnia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 16-GO:



FOT. TRAMPUS — PARYŻ.

Anglja i Francja otaczają hodowlę psów nietylko opieką licznych, specjalnych towarzystw i instytucyj, ale ogólną sympatją, która w swem psychologicznem założeniu łączy się tam z umiłowaniem polowań i wszelkich innych sportów. Szczególnie w ostatnich czasach, Francja zwróciła się ku racjonalnej hodowli koni i psów, urządzając co pewien czas nadwyraz ciekawe odnośne wystawy. Oto odbyła się ostatnio w Paryżu wielka wystawa psów, wszelkich ras i gatunków, zadziwiając szeroką publiczność wspaniałemi okazami, które otrzymały liczne nagrody. Na zdjęciu widzimy wspaniałego bernardyna z jego niewiele większą właścicielką podczas premjowania.

BIBLJOTEKA I MUZEUM

ORDYNACJI ZAMOYSKICH W WARSZAWIE

Na prawo: Czako ks. Józefa Poniatowskiego.



Na prawo: Portrety minjaturowe małżonków bar. Lympurg, pendzla Łukasza Cranacha, syna.

W ruchliwej handlowej dzielnicy Warszawy, przy ul. Żabiej 4, w oficynie — dokąd nie dociera gwar i zgiełk rozkrzyczanej ulicy, mieszczą się bezcenne skarby kultury i nauki, od 400 lat gromadzone i przechowywane przez znakomity ród hr. Zamoyskich. Ród ten wzbudza podziw nietylko w kraju, lecz i zagranicą, której imponuje wspaniała ciągłość tradycji i, rzecz niespotykana w historji, posiadanie nietylko własnego grodu, lecz i własnego uniwersytetu. Jakież to smutne, że tak niewielu Warszawian wie o istnieniu Bibljoteki Ordynacji Zamoyskich, nie mówiąc już, o tych wybrańcach, którzy z niej korzystają! Aby choć trochę zmniejszyć naszą winę — złóżmy wizytę tej zasłużonej instytucji.

W pięknym gabinecie ozdobionym ogromnych rozmiarów dziełem Jana Styki, przedstawiającym kanclerza J. Zamoyskiego, odczytującego akt elekcyjny Henrykowi Walezemu, przyjmuje nas uprzejmie prof. Kolankowski, który od 7 lat pełni chlubnie obowiązki dyrektora tej najstarszej (po Jagiellońskiej) bibljotece, istniejącej od roku 1594. A rządzić i pielęgnować 200 tysiącami książek, 12 tys. rękopisów, bezcennemi ameliami, białemi krukami, ;nkabułami — to niełatwa rzecz. Ale też rokrocznie sprawozdania zarządu Bibljoteki wykazują zakres dokonanej wielkiej pracy, w dziedzinach konserwatorskiej, inwentaryzacyjnej i innych. Z gabinetu dyrektora, gdzie na półkach błyszczą złotem i wykwintną oprawą dzieła z XVIII w., przechodzimy do salonu, kryjącego pamiątki po gen. Zamoyskim i innych członkach rodu. Gdy drzwi się otwierają, zdumionym oczom przedstawia się imponujący widok ogromnej sali bibljotecznej, z krużgankiem biegnącym wokół. Przez środek sali ustawione stoły-szafy chowają w swem wnętrzu mapy. Stoły zdobią globusy i inne stare przyrządy astronomiczne i geograficzne.

— Czy pani wie, ile książek spoczywa tu na półkach, za szkłem?... 85 tys. egzemplarzy!

Podnoszę głowę. Co to za sztandary?

— Oto najstarszy sztandar Habsburgów, ten zdobyty pod Lepanto, tamten przez Zamoyskiego pod Byczyną.

Przechodzimy do bocznych sal. Tu ukryte są rękopisy i bezcennej wartości białe kruki.

Oto najdroższy skarb dla każdego Polaka, najstarsza znana kopja kroniki Galla, skąd czerpiemy początki historji polskiej. Długoszowe iluminowane przebogate żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich wprawiają w zachwyt doskonałością, rysunkiem, świetnie dobranemi barwami, które są dziełem zapewne Polaka Stanisława z Mogiły. A poza znaczeniem historycznem, ukrytem w treści pisma, z malowideł czerpać możemy wiele ma-





Przybór stołowy z złoconego srebra, ofiarowany przez papieża Piusa III podobno królowi Zygmuntowi Augustowi w r. 1568.

terjału, odnoszącego się do wizerunków, przedstawionych osób i ich strojów.

A czyż wzruszenie może nie ogarnąć każdego, gdy ogląda najstarszą książkę polską, Mszał Tyniecki z końca X w., roboty bizantyjskiej, przywieziony przez misjonarzy-Benedyktynów do Polski? Z końcem XVIII w. egzemplarz ten został zakupiony przez Ordynata Zamoyskiego. P. dyr. Kolankowski zwraca nam uwagę zkolei na najstarszy rękopis słowiański, najważniejsze źródło naukowe dla slawistów, studjujących zaczątki języków słowiańskich. Z tego Kodeksu Supraślskiego, składającego się z 32 zeszytów, pożyczono 12 uczonemu Kapitar z Wiednia. Po jego śmierci zamiast zwrócić własność właścicielowi, zaanektowała owe 12 zeszytów Bibljoteka w Lublanie. W innych gablotkach porywają oczy bogactwem kolorów włoski XV-wieczny rękopis Złotej Legendy, dalej Jakoba de Voregine, ozdobiony minjaturami, budzącemi niekłamany podziw, modlitewniki francuskie i holenderskie z XV i XVI w.

Bezcenne szkice Tretera do miedziorytów zdobią dzieło o Hozjuszu i wiele innych unikatów kryją mury bibljoteki, które niesposób wymienić.

Należy jeszcze wspomnieć, że w zbiorach Bibljoteki przechowuje się najbogatsza w Polsce część bibljoteki Zygmunta Augusta: 3 tysiące inkunabułów, zbiór kilkuset atlasów od XV w. poczynając, tysiące map i sztychów.

— Czy wiele osób korzysta z Bibljoteki?

— Odwiedzają ją nawet goście z zagranicy, i oczywiście uczeni polscy, poza tem studjuje u nas młodzież — objaśnia mnie prof. Kolankowski. — Pracownia naukowa jest obliczona na 50 osób, a ponieważ „specjalizujemy" się w dziale historycznym i historji literatury, przychodzi do nas dość dużo studentek z wydziału humanistycznego.

Z sal bibljotecznych udajemy się do muzeum. Przedmioty tu zebrane przeszły przez życie, nie były one nabywane z myślą o przyszłem muzeum, lecz służyły swym właścicielom, lub w jakimś stopniu były z nimi związane jako ich prace, lub specjalne pamiątki. Oto naprzykład wzór laski, jaką posługuje się obecnie mistrz Solski, w „Fryderyku Wielkim". Szyldkretowa laska, rączka i gałka z kości słoniowej, ofiarował ją Fryderyk II uczonemu d'Alembert w Paryżu, a ten zkolei dał ją Stanisławowi hr. Zamoyskiemu. Gdy o laskach mowa, należy wspomnieć kij składany z 3 części, tworzących rozstawiane krzesło, a służące Staszicowi w czasie jego podróży naukowej w Karpatach. Dalej znajduje się tam laska marszałka sejmu czteroletniego.



Jeden z dwunastu drogocennych majolikowych talerzy fabryki Limoges, należący do cyklu dwunastu miesięcy. Reprodukowany talerz przedstawia alegorję miesiąca kwietnia.



Na lewo: Autentyczna szpada Vasco da Gamy, jednego z odkrywców Ameryki.





Minjatnrowy portret ks. Jeremiego Wiśniowieckiego. — Na lewo: Główna sala bibljoteki Zamoyskich, zawierająca najcenniejsze zbiory. Z pułapu zwieszają się sztandary domowe Habsburgów i zdobyty w bitwie pod Byczyną przez hetmana Zamoyskiego.



Tytułowa karta z iluminowanego rękopisu żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich pendzla prawdopodobnie Stanisława z Mogiły.

W szafach kryje się wiele pięknej porcelany, przepiękne 12 talerzy z Limoges, stanowiące jedyny na świecie komplet. (Luwr i British Muzeum posiadają zaledwie po kilka sztuk). Te talerze, przedstawiające zajęcia rozmaite w ciągu 12 miesięcy roku, są dziełem Piotra Remond, który był najznakomitszym emaljerem. Talerze są emaljowane sposobem szarego szkliwa malowanego (email peint en grisaille).

Rycerski ród Zamoyskich zostawił wiele pamiątek, jak zbroje, kolczugi, zdobyczne tarcze, mnóstwo szabel, ba, posiada również ks. Jeremiego Wiśniowieckiego, buzdygan z hebanu, o rękojeści i głowni ze srebra złoconego. Co więcej, muzeum przechowuje szpadę Vasco da Gamy (nazwisko wyryte na rękojeści), za którą Portugalczycy zapewne nie wahaliby się dać każdą cenę.

Wśród drobiazgów wyróżniają się piękne sztućce Zygmunta Augusta, przywiezione z Rzymu od papieża Piusa III, przez nuncjusza Lommendoni'ego. Na nożu widnieje wyrzeźbiony Orzeł Polski, na widelcu i łyżce portrety króla. Cóż, kiedy prof. dr M. Sokołowski i p. Bisier uznali... wszystkie 3 sztuki za falsyfikaty! Ja jednak wbrew opinji rzeczoznawców wolę dalej myśleć, że naprawdę król posługiwał się temi sztućcami.

Wśród wielu portretów i minjatur, zwracają szczególną uwagę malowane na drzewie w r. 1559 przez Łukasza Cranacha (syna) portrety małżonków bar. Lympurg. — Świetne wykonanie przyciąga oczy na długo. Ramki obydwu wizerunków dają się złożyć w jedno pudełko. Z pamiątek owianych specjalnym sentymentem, wymienić trzeba czako ks. Józefa Poniatowskiego (niedawno zwrócone z wystawy w Paryżu p. t. „Dwa wieki sławy wojennej" 1718—1814). Materja z kontusza Żółkiewskiego, znalezione w grobie, plan bitwy, rysowany ręką Kościuszki, urna z sercem ks. Adama Czartoryskiego i wiele, wiele jeszcze innych.

Wychodzimy z muzeum wzmocnieni na duchu i dumniejsi, że oto posiadamy tyle skarbów, świadczących o wielkich zasługach mężów, którzy przyczynili się do ich zgromadzenia. Ten przepiękny zakątek, promieniejący głębią kultury polskiej i historycznych wspomnień, jest nieznaną wyspą dla przeciętnych Warszawian. Zasłużony dyrektor Bibljoteki i świetny historyk Dr. Ludwik Kolankowski spełnia szlachetną misję. **Krystyna Dienstl.**

KRÓL JERZY V JAKO FILATELISTA

Przysłowie starożytne mówi, że zemsta jest rozkoszą bogów, w obecnych czasach kryzysu możnaby je zmienić i powiedzieć, że filatelistyka jest rozkoszą monarchów — kogóż bowiem innego stać na wydawanie ogromnych sum, na zdobywanie białych kruków, jak nie ich?

Kolekcjonerstwo jest, biorąc z punktu widzenia psychologicznego, cechą właściwą wszystkim ludziom, a zwłaszcza ludzie wybitni są prawie zawsze zbieraczami np. książek, obrazów, sztychów, porcelany, mebli lub znaczków pocztowych. Tak też i władca imperjum „nad którem słońce nie zachodzi" był od swej najwcześniejszej młodości filatelistą-amatorem, i to nie przeciętnym, jeśli chodzi o ilość i wartość posiadanych okazów oraz ich znawstwo.

Zgon króla Jerzego V okrył żałobą nietylko całe społeczeństwo angielskie; był spewnością opłakiwany przez wszystkich zbieraczy w całym świecie, gdyż filatelistyka utraciła w Jerzym V najwyżej postawionego protektora. — Co się stanie ze zbiorem króla? — oto pytanie, interesujące wszystkich amatorów unikatów, które zdawałoby się nigdy już więcej się w handlu nie ukażą. Nadzieje zdobycia jednak czegokolwiek z kolekcji Jerzego V zostały szybko rozwiane, gdyż (chociaż Edward VIII nie jest filatelistą), zbiór będzie kontynuowany jako „zbiór królewski", stojący „extra commercium".

Nie ulega żadnej wątpliwości, iż Jerzy V jeszcze jako syn ówczesnego księcia Walji, a późniejszego króla Edwarda VII nie myślał, że dojdzie kiedyś do posiadania największego zbioru w świecie i że będzie jednym z kilku ludzi, którzy zdobędą te wszystkie znaczki, jakie tylko są możliwe do kupienia. Naturalnie, że dysponował on takimi środkami, jak żaden inny śmiertelnik, a chociaż np. Artur Hind więcej pieniędzy wydał na swój zbiór, król angielski jednak otrzymywał w darze od wszystkich rządów nowo ukazujące się znaczki tak, że od chwili założenia zbiór jego uzupełniał się automatycznie.

Największe rarytasy jednak z epoki „archaicznej" filatelistyki musiał zdobywać Jerzy V już nie na wagę złota, ale chyba radu, gdyż najwyższą przez niego zapłaconą ceną, za którą nabył np. Mauritius Nr. 2 była suma 36.000 złotych! W ciągu lat uzupełnił on swój zbiór jednak czyto drogą kupna czy zamiany tak, że w zbiorze znaczków wydanych przez imperjum brytyjskie brak jeszcze tylko 2 sztuk! (Między niemi słynnego znaczka Angielskiej Gujany za 1 c — o którym pisaliśmy w jednym z numerów „Asa" w ub. r.). Pragmatyka dworska zabrania naturalnie królowi przyjmowania prezentów z rąk prywatnych, natomiast wymiana z najpoważniejszemi filatelistami była źródłem wielu zdobyczy. — Naiwne zaś prośby młodocianych zbieraczy, którzy pragnęli wystawić na próbę wspaniałomyślność królewską, były z urzędu załatwiane odmownie...

Mógłby ktoś pomyśleć, że król Jerzy V — podobnie jak inni zazdrośni o swoje skarby zbieracze — nie pozwolił nikomu oglądać swoich „białych kruków". — Przeciwnie: rok rocznie na zebraniach „Royal Philatelic Society" demonstrował sekretarz króla część jego kolekcji — a nawet na jednej z wystaw kilkadziesiąt kart z albumów królewskich mogła oglądać liczna publiczność. Najpoważniejsi zbieracze dostąpili zaszczytu zaproszenia do siedziby Jerzego V, do pałacu Buckingham, gdzie jest specjalna sala przeznaczona na umieszczenie zbioru. Król pokazywał swym gościom osobiście najciekawsze z kilkuset posiadanych albumów i prowadził z nimi fachowe rozmowy z dziedziny filatelistyki.



Zmarły niedawno król Jerzy V jako ks. Walji.

Praca nad przygotowaniem portretu króla trwała rok cały i dopiero w dłuższy czas po śmierci Edwarda VII ukazały się znaczki z podobizną Jerzego V. W kilku kolonjach natomiast przygotowano je wcześniej i tak np. reprodukujemy pierwszy znaczek, na którym występuje już Jerzy V jako król. Jest to znaczek Południowej Afryki, wydany z okazji połączenia się Transvalu, Oranji, Natalu i Kraju Przylądkowego w jedno dominjum w roku 1910. Przedtem występuje on jeszcze jako książę Walji wraz z małżonką na jubileuszowych znaczkach Kanady. W kolonjach angielskich znaczki pocztowe są używane również jako stemple, a więc potrzebne są bardzo wysokie nominalne wartości, dochodzące zawsze do sumy jednego funta. W stanie niestemplowanym prezentują się one nadzwyczajnie i dzięki uprzejmości p. prof. Stanisława Korbla, z którego zbioru otrzymaliśmy szereg bardzo rzadkich okazów do fotografji, możemy pokazać Czytelnikom sztuki nie często spotykane.

Wspaniały jest zwłaszcza egzemplarz 1-funtowy Anglji, przedstawiający walkę św. Jerzego ze smokiem — wydany w czasie kongresu pocztowego w Londynie (kolor czarny). Mniej szczęśliwie wypadły znaczki jubileuszowe z ubiegłego roku.

Konserwatyzm angielski był chyba powodem, że data śmierci króla nie została upamiętniona znaczkami żałobnemi.

Zbiór króla Jerzego V uzupełniać będzie sekretarz króla Sir Edward Bacon, któremu została powierzona opieka nad tą najcenniejszą w świecie kolekcją.

W. H.



Znaczki imperium brytyjskiego: 1. Para królewska na znaczku pamiątkowym, wydanym dla Kanady. 2. Znaczek Nowej Zelandji z królem Jerzym V jako wodzem naczelnym. — 3. Znaczek wyspy św. Heleny. — 4. Znaczek pamiątkowy, wydany z okazji kongresu pocztowego w Londynie w roku 1929. — 5. Znaczek kolonji bryt. Sierra Leone. — 6. Znaczek Kanady. — 7. Znaczek Nowej Fundlandji z księciem Walji, obecnym królem. — 8. Znaczek protektoratu brytyjskiego Njasa. — 9. Znaczek jubileuszowy 25-letniego panowania. — 10. Znaczek Południowej Afryki z 1910 r. — 11. Znaczek Kanady z ks. Elżbietą. — 12. Jerzy V jako ks. Walji na znaczku N. Fundlandji.

We dwoje.

KTO MA RACJĘ, ON — CZY ONA?

Nie mógł się powstrzymać od kupienia kilku tulipanów. Dzień był tak słoneczny, jasny, ciepły i po raz pierwszy w tym roku naprawdę wiosenny, że czerwone i żółte kwiaty wprost kusiły oczy. Gdy tulipany, zawinięte w bibułkę, i teczkę skórzaną wziął w jedną rękę, poczuł że ma drugą rękę wolną i że musi koniecznie coś kupić, ażeby wrócić do domu — jak to się uroczyście nazywa — „obładowany paczkami".

Żona bardzo to lubiła. Wyjmowała mu paczki po kolei z rąk i naddzierała trochę papier, ażeby zajrzeć, co jest w środku.

Żona... słowo brzmi dziwnie, bo nie minął nawet miesiąc od ślubu. Dziś właśnie jest pierwszy. „Pierwszy" — to znaczy dzień odbierania pensji.

Żona i on po raz pierwszy w życiu przyniosą dziś pieniądze do wspólnej kasy. Myśląc o tem, wstąpił do owocarni i kupił pomarańcz...

W domu z zadowoleniem, z nieukrywaną przyjemnością i odrobiną ukrywanej zarozumiałości poddawał się podziękowaniom i zachwytom żony, wołając: och! ach! Włożyła tulipany do wazonu czemprędzej obrała pomarańcz i podała mu soczysty owoc. Mimo tego wszystkiego, czeka z rosnącym zawodem, czy też i ona pomyślała o jakiejś niespodziance. Nic takiego nie zauważył.

Usiedli przy stole.

— Teraz jedz i słuchaj! — zawołała. I ja nie byłam gorsza od ciebie. Ja także przyniosłam ci coś dobrego. Otworzyła torebkę i wyjęła niewielką książeczkę.

— Co to jest?

— Mężczyzna zawsze może być trochę lekkomyślny, ale kobieta musi czuwać nad przyszłością domu. To jest nasza książeczka premjowa PKO. Ujęłam z pensji 8 złotych i wpłaciłam jako początkową wkładkę. Teraz będę tak robić co miesiąc, a za 9 i pół lat będziemy mieć tysiąc złotych. A pozatem, mam jeszcze nadzieję, że dzięki tej książeczce będę ci mogła kupić nowy garnitur, a sobie — ach! już wiesz co, marzenie każdej kobiety: futro!

— W jaki sposób? O ile wiem z książeczek premjowych nie można podnosić wkładów.

— Tak, ale widzisz, teraz P. K. O. wydała nową serję książeczek premjowych na bardzo — no czekaj, nie przerywaj — naprawdę na bardzo dogodnych warunkach. Co kwartał będą losowane premje: po 100 zł., po 250 zł., po 500 zł. i po 1000 zł. Ponieważ premje są i większe i mniejsze, więc dla każdego wielkie szanse. A my chyba będziemy mieć szczęście, prawda? I chyba otrzymamy naszą nagrodę za wytrwałe i pilne oszczędzanie?

— Kochanie, napewno!

— Słuchaj dalej. Gdyby nagle spotkało nas jakieś niepowodzenie, to zawsze możemy książeczkę zlikwidować i odebrać wpłacone pieniądze. Pomyśl, co to za wygoda mieć pod ręką własną kasę kredytową!

— Zrobiłaś bardzo przezornie. Tylko, że to trochę trudno oszczędzać tak naprzód, żeby mieć pieniądze po 9 i pół latach.

— Wcale nie trudno, osiem złotych miesięcznie łatwo odłożyć, a po 9 i pół latach... Wtedy — dokończyła ogromnie uważnie zbierając okruszynki ze stołu — może nie będziemy sami...

Praktyczny kącik panów

Szanuj rzeczy należycie...

Często widzimy panów „dobrze ubranych", wydających nawet poważne sumy na krawców i materjały, których ubrania pomimo wszystko swym wyglądem wzbudzają... współczucie. Często też patrząc się na takie „sfatygowane" ubranie marynarkowe, nie chce nam się wierzyć, iż garnitur ten niedawno dopiero wyszedł „spod igły".

Inni znowu mężczyźni mogą nosić ubrania latami, z tańszych materjałów, a zawsze wyglądają one nienagannie.

Na czem polega ta tajemnica? Oto za mało zdajemy sobie sprawę z tego, że każde ubranie musi być „pielęgnowane" i to codziennie i systematycznie. Nie wystarcza posłać od czasu do czasu garnitur do krawca, by go „odświeżył". Trzeba dbać o to, aby każde ubranie, które znajduje się w szafie, było też każdej chwili gotowe do użytku.

Staranność i dbałość nie są żadnym luksusem i nic nie kosztują.

Kilka przykazań, które poniżej podajemy, odsłonią nam tajemnicę „wiecznie nowego" ubrania.

A więc po pierwsze: *Nie należy ubrania nosić tygodniami bez przerwy, tylko w miarę możności często zmieniać.*

Po drugie: *Ubranie trzeba codziennie gruntownie wyczyścić, a zwłaszcza mankiety (przy spodniach) muszą być starannie wyszczotkowane, gdyż tam zbiera się najwięcej kurzu. Tak samo kapelusz prosi się o to, by o nim pamiętano przy czyszczeniu. Wieczorem przy rozbieraniu należy ubranie porządnie złożyć, najlepiej powiesić na wieszaku, lub specjalnym stojaku do ubrań.*



Elektryczny aparat do „domowego" zaprasowywania spodni.



Spodnie tak ułożyć, by dokładnie zgadzały się z zaprasowanymi fałdami.

Po trzecie: *Plamy bezwzględnie zaraz wyczyścić. Nie należy używać żadnych żrących chemikalij.*

Po czwarte: *Jeżeli materjał ma nitki jedwabne, należy go czyścić tylko eterem siarkowym. Nie używać nigdy do tego wody i mydła. Poleca się zresztą w miarę możności oddawanie ubrania do fachowego odczyszczania przez pralnie chemiczne itp.*

Po piąte: *Jeżeli materjał, lub podszewka przy ubraniu zniszczyła się, trzeba marynarkę natychmiast posłać do krawca do naprawy. Inaczej powstają dziury, które o wiele trudniej załatać. Należy również zwrócić uwagę na porządne i staranne przyszywanie guzików.*

Po szóste: *Każde ubranie musi być od czasu do czasu odprasowane.*

Oto kilka praktycznych przepisów dla pana, które wypada stosować codziennie, a wówczas oszczędzi się wiele pieniędzy i kłopotów.

Brummell.



IMCI PAN TULIPAN

Imci Pan Tulipan naogół ma bardzo złą opinję. — Choć wspaniały i barwny, uchodzi za zimnego, nieprzystępnego i dumnego.

W literaturze również nie ma przyjaciół i bywa porównywany do Galatei bez serca, do kobiety próżnej, goniącej jedynie za strojami, do istoty pozbawionej duszy i wszelkich uczuć.

Mimo to był zawsze otaczany serdeczną opieką człowieka, który nie żałował trudu, aby wyglądał coraz piękniej i coraz barwniejsze nosił szaty. Trud ten został uwieńczony pomyślnemi rezultatami i dziś rodzina tulipanów liczy tysiące odmian — nieraz bardzo różniących się od siebie, a jedne piękniejsze od drugich. Podobnie, jak hjacent pociąga tulipan oczy swoją egzotycznością i dziwną formą kwiatu o gorących barwach.

Niestety, jest pozbawiony zupełnie zapachu i tu sztuka ludzka nic nie zdoła zdziałać.

Zdawien dawna jest tulipan ulubionym kwiatem Turcji, gdzie spełnia podobną rolę, jak chryzantema w Japonji. Do dziś obchodzą w Turcji „Święto tulipanów" i dzień ten jest poświęcony miłości i ogólnej radości.

Do Europy został sprowadzony przez Gesnera w r. 1559 do Holandji.

Zrazu nieznany nikomu i ceniony jedynie przez nielicznych amatorów, krok za krokiem zdobywa sławę i znaczenie.

Trafił zresztą tulipan na szczęśliwy dla siebie okres. Były to bowiem czasy, gdy gwiazda wielkiego dotąd księcia hyacynta zaczęła blednąć i gdy amatorzy egzotycznych kwiatów zapragnęli dla siebie czegoś nowego.

Tulipan przynosił ze sobą nowe możliwości w tworzeniu nowych odmian pod względem barw i kształtów kwiatu.

Cebulki tulipanowe zaczęły być naraz poszukiwane i zaczęło nimi handlować moc osób. Niedługo stworzyła się cała giełda na te kwiaty.

Oczywiście, że w tych warunkach tulipan szedł w cenę i za nowe odmiany płacono niesłychane wprost sumy.

Według Zołotnickiego, który z benedyktyńską cierpliwością i dokładnością zbierał wszystko, co dotyczy tego kwiatu, cebulki tulipana doszły do takiej wartości, że np. za nową odmianę „Semper Augustus" zapłacono 13.000 guldenów holenderskich, a cebulka „Admirała" poszła za 6.000 florenów. Nietylko za pieniądze zamieniano te kwiaty, każdy pragnący nabyć tulipan, płacił czem mógł.

W XVII wieku zanotowano, że dano za jedną cebulkę: „24 miar pszenicy, 48 miar żyta, 4 woły, 8 świń, 12 owiec, 2 beczki wina, 2 beczki masła, 4 pudy sera...".

Tulipan wstępnym bojem zdobył serca wszystkich — nawet twarde zazwyczaj, radców miejskich. Doszło do tego, że miasta wyznaczały specjalne nagrody pieniężne za nowe odmiany. Premje te sięgały, jak na owe czasy, zawrotnych sum.

W kronikach miasta Haarlemu czytamy, że gdy w r. 1673 pewnemu ogrodnikowi udało się wyhodować okaz o bardzo ciemnofioletowej barwie, zbliżonej do czarnej, urządzono poprostu święto narodowe. Zebrał się tysiączny tłum, który wśród radosnych okrzyków ruszył pochodem przed ratusz.

W środku pochodu na wspaniałych złotogłowiem przybranych noszach spoczywał niewielki ciemny kwiatek — właśnie ów nowowyhodowany egzemplarz.

Po przybyciu do ratusza szczęśliwy ogrodnik odebrał nagrodę w postaci 100.000 guldenów nagrody i wydał dla ludu wspaniałą ucztę.

Aż do roku 1773 tulipany były u szczytu sławy. W tym roku gwiazda ich zaczęła blednąć, bo na horyzoncie ukazuje się nowy egzotyczny przybysz — storczyk.

Drugim powodem gaśnięcia sławy tulipana było to, że rząd holenderski w tym właśnie roku surowo zabronił spekulacji na tulipanach, a gdy ludziom zabrakło pierwiastku hazardu w hodowli, to miłość do kwiatu ostygła mocno.

Zarządzenie rządu było wywołane tem, że „tulipanomanja" zaczęła zataczać zbyt szerokie kręgi i była często powodem nietylko ruiny finansowej obywateli, ale i licznych tragedji.

Tak np. opowiadają o jednym ogrodniku, któremu się udało wyhodować tulipan o jakiejś niezwykłej barwie. Kwiat ten był jednym jedynym w kraju. Okazało się jednak, że i drugi szczęśliwiec wyprodukował taki sam. Ogrodnicy zamiast się zgodnie podzielić sławą i nagrodami, zapałali ku sobie szaloną nienawiścią. Wreszcie jeden z nich — bardziej ambitny udaje się do drugiego i za cenę całego swego znacznego majątku kupuje kwiat poto... aby go rzucić na ziemię i zdeptać nogami, wołając:

— No, teraz mój tulipan jest jedynym na świecie!

Niestety, niedługo cieszył się swem dziełem. Już po kilku dniach kwiat jego zaczął więdnąć i zmarniał. Ogrodnik z rozpaczy zarzucił sobie pętlę na szyję i skończył samobójstwem.

Legenda głosi, że szczęście ludzkie jest ukryte w tym kwiecie. Wydostaje się ono na świat w momencie, gdy pąk w kielich się rozchyla. Wówczas szczęście stamtąd wyfruwa i człowiek może je złowić. Kusiło się o wielu, którzy trawili długie godziny, aby owo wydostające się szczęście uchwycić. Niestety, wszystko daremnie — nikomu nie udało się spostrzec momentu rozchylania się kielicha.

Raz wybrała się biedna kobieta na łąkę, siadła nad kwiatem i czatuje. Czeka godzinę, dwie, trzy i nic. Tymczasem dziecko jej, które w domu zostawiła, przybiegło w poszukiwaniu matki na łąkę. Dzieciak, zobaczywszy piękny pączek, podbiegł i zerwał kwiatek. W tej chwili pączek rozchylił płatki, a matka zrozumiała, że szczęściem jej życia jest radość i życie dziecka.

M. S. S.



Holandja, klasyczny kraj tulipanów, posiada m. in. w okolicy Leydy wspaniałe plantacje tych pięknych kwiatów.

NA DRODZE WIECZNEGO TUŁACZA...

Anna Dudevant.

NOWELA

Zapadał mrok. Długie smugi cienia kładły się na kamienne płyty chodników i pełzały zwolna w stronę jezdni. Szeregi starych, dwupiętrowych budynków, ograniczające z obu stron wąską ulicę, która wiodła w stronę Rynku, spoglądały na siebie w milczeniu otworami okien. Mimo niezbyt późnej pory, bramy domów były już puste i tylko wychodzące czasem z długich, sklepionych sieni nieliczne postacie mieszkańców świadczyły, że gdzieś w głębi tych kamiennych czworoboków, tulących się do siebie w dziwnym smutku, tętni życie i tlą się iskry ludzkich namiętności. Zaledwie widoczne płomyki palników gazowych, skrytych w kloszach latarń ulicznych i nie płonących dotąd pełnem światłem, wykreślały w powietrzu linję, która łączyła zakątek ten z sercem miasta.

Niewielką przestrzeń, ograniczoną rzędami milczących domów, dzieliła od zgiełku i gwaru potężna fasada kościoła OO. Pijarów, zamykająca wylot ulicy od strony dawnych murów miejskich, a widoczna u jego podnóża czeluść krypty grobowej zdawała się łączyć ją z krainą martwoty i bezwładu. Dusza tego smętnego zaułka przejawiała się w ciszy, chłodzie i ciemnosci tej wielkiej piwnicy, otwierającej się na świat zewnętrzny.

Staliśmy nawprost krypty, pod lampą gazową, spoglądając w kąt, utworzony przez przyległe do kościoła ściany i zwarty blok Muzeum Czartoryskich, pod którego szeroką arkadą gubiła się w cieniu uliczka, wiodąca w stronę Florjańskiej Bramy.

— Tu rozpoczęła się najdziwniejsza przygoda w mem życiu — odezwał się nagle archiwarjusz, zapinając płaszcz. — I chociaż nie byłem właściwie jej bohaterem, zadecydowała ona o mej przyszłości.

Spojrzałem na niego z zainteresowaniem.

— Nie byłem wtedy sam — objaśnił mnie. — Prawdę mówiąc, gdyby nie Stefa — mam na myśli żonę — może nie przyszłoby do tego brzemiennego w skutki spotkania.

Zapalił papierosa i właściwym mu melodyjnym głosem zaczął mówić o dziejach swej miłości i o poznaniu tej, która została później jego towarzyszką życia. Słuchałem go zrazu obojętnie, ale z każdą chwilą poddawałem się coraz bardziej urokowi jego słów i wkońcu zacząłem śnić razem z nim tę dziwną opowieść, która nie mogła się zdarzyć, a która, w myśl jego twierdzenia, jednak się zdarzyła.

— Byłem zaręczony już kilka miesięcy — opowiadał archiwarjusz — kiedy po raz pierwszy ojciec Stefy wspomniał mi o podaniu, przekazywanem w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie, o podaniu, sięgającem czasów bardzo dawnych... Lubiał wspominać o swoich przodkach, chociaż nie należał do szlachty i jako właściciel handlu obuwiem winien był mieć tylko praktyczne cele na widoku. Podkreślał przy każdej sposobności, że przodkowie ci cieszyli się za czasów Stanisława Augusta wielkiem poważaniem nawet na królewskim dworze i że pradziad jego robił buciki dla pani Grabowskiej, która zawezwała go w tym celu do Warszawy. Jednem słowem, pochodził z rodziny sławnych szewców i jeśli sam, rozporządzając już znacznym majątkiem, przekształcił się w właściciela magazynu, to jednak nie miał odwagi sprzeniewierzyć się tradycji i szukać szczęścia w innym zawodzie. Odnosił jednak wrażenie, że niekiedy wstydzi się tego, iż jest, bądź co bądź, człowiekiem, dla którego buty i trzewiki stanowią źródło dochodu. „A czemuż ojciec nie kształcił się na lekarza, adwokata lub inżyniera? — zapytałem go raz, w czasie dłuższej rozmowy na ten temat". Uśmiechnął się tajemniczo. „Takie było życzenie moich rodziców. Ze względu na Jego przyjście...". Przerwał zakłopotany i zmienił temat rozmowy. Ale od narzeczonej dowiedziałem się później, że w rodzinie jej każdy syn pierworodny musiał być szewcem i że powodem tego była jakaś legenda, uzależniająca szczęście i dobrobyt w ich domu od dopełnienia tego warunku.

— Trudno dorobić się majątku na butach — wtrąciłem, zwracając się do archiwarjusza.

—Ma pan słuszność — odparł. — I ja tak sądziłem. Ale w danym wypadku chodziło o zachowanie tradycji. Wracam jednak do opowiadania. W miesiącach, poprzedzających ślub mój, stary był bardzo rozdrażniony. Biadał często, że nie ma syna, a chociaż do jedynaczki był fanatycznie przywiązany, wyrażał żal, że nie przekaże nazwiska nikomu. Ciągle na coś czekał, wypytywał o przyjeżdżające do miasta osobistości, błądził po ulicach bez celu, słowem robił wrażenie dziwne, bardzo dziwne. Sądziłem, że jest chory i radziłem Stefie, aby wezwała do niego lekarza. Ale kiedy zwróciła się do ojca z tą propozycją, rozgniewał się i odpowiedział, że ma do spełnienia pewną misję, od której zależy szczęście i pomyślność córki... Musi się przygotować do przyjęcia gościa.

Słowa jego zdziwiły mnie; widząc to, rzekł: „Mój drogi... Rok ten ma dla mej rodziny wyjątkowe znaczenie. Spotka mnie wielki zaszczyt, zaszczyt, o którym nikomu nawet się nie śniło, ale kiedy go dostąpię rola moja na tym świecie będzie właściwie skończona. Was jednak czeka szczęście i błogosławieństwo tego, który ma większą moc, niż niejeden panujący i który zawitać musi pod mój dach, nim drzewa zakwitną.

„A jeśli nie zawita?" zapytałem, nie wiedząc, co sądziś o tych wynurzeniach. „Droga jego wiedzie przez Kraków...", odparł. „Zawsze wiodła przez Kraków. Wiem to napewno. Wiem z ust ojca, który mi oznaczył datę jego przybycia, rok 1914, w czasie Wielkiej Nocy...".

„Któż to taki? Nigdy mi o nim nie mówiłeś", wtrąciła moja narzeczona, zwracając się do ojca.

„Uważałabyś mnie za szaleńca. Ale jeśli chcesz wiedzieć, co daje najwyższą moc... moc, jaką nie rozporządza żaden panujący, to ci powiem... O g l ą d a n i e B o g a!"

Fakt, że zachował milczenie nawet teraz, kiedy zbliżała się godzina próby, że nie chciał niepokoić córki, uważając to za niepotrzebne, mógł świadczyć tylko korzystnie o jego charakterze. Z drugiej strony, słowa jego były tak zagadkowe, że nie mogły nas uspokoić. Rozmawiałem często z narzeczoną, pytając ją, co miały oznaczać. Ale nie umiała dać mi żadnego wyjaśnienia. Dowiedziałem się tego tylko, że w jej rodznie, z pokolenia na pokolenie przechodzi jakaś tajemnica, powierzana najstarszemu synowi przez ojca, zazwyczaj na łożu śmierci... Że otacza ich opie-

ką jakaś potężna osobistość... Słuchałem wiadomości tych z uśmiechem, a i narzeczona moja nie traktowała ich poważnie. Zapomnieliśmy też wkrótce o tej ciekawej rozmowie. Zbliżały się Święta Wielkiej Nocy...

Archiwarjusz przerwał opowiadanie i spojrzał mi w oczy.

— Historja moja może się panu wydać nieprawdwopodobna. Nie będę miał pretensji, jeśli to, co powiem, przyprawi cię tylko o wzruszenie ramion. Ale jest to mimo wszystko historja prawdziwa...

Ująłem go pod ramię. —

— Znam pana, jako człowieka poważnego — rzekłem. — Zaciekawia mnie to wszystko bardzo.

Podjął wątek opowiadania.

— Było to w Wielki Piątek — mówił dalej. — Miasto spowiła gęsta mgła. Zmierzch zapadł szybciej, niżby się należało spodziewać. Wracałem wraz z narzeczoną do domu jej z krótkiej, przedświątecznej wędrówki po sklepach, wzdłuż plant, przez ulicę Pijarską. Przystanęliśmy na rogu ulicy św. Jana, zastanawiając się, czy nie skręcić w stronę Rynku i wtedy ujrzałem zbliżającą się do nas od strony Bramy Florjanskiej jakąś postać. Wyłoniła się z cienia i mgły, z załamu starych murów miejskich, niespodzianie, jak widmo.

— Była to postać zgrzybiałego starca, z wielką, siwą brodą i długiemi, rozwiewającemi się na wietrze włosami. Szedł boso, z odkrytą głową, wspierając się na kiju. Kolana jego uginały się pod brzemieniem lat, a w rysach twarzy, dziwnie pięknej i szlachetnej, malowało się znużenie. W szarym kitlu, przepasanym skórzanym fartuchem, drżał z zimna lub niemocy, a szerokie jego ramiona garbiły się, jakby pod wielkim ciężarem. Co jednak uderzyło mnie w oczach jego najbardziej, to wyraz dziwnej zadumy i straszliwej, nieodpartej bezsilności. Miał w sobie coś z uroczystej powagi Boga i niezaradności dziecka. Szedł chwiejnym krokiem, ale nie ociągał się, jakby opanowany jakąś przemożną myślą, która kazała mu w drodze do celu zapomnieć o trudach, zniechęceniu i rozpaczy. Rzecz ciekawa, nie zrobił na mnie wrażenia szaleńca, chociaż zjawienie się na ulicach miasta człowieka o tak szczególnym wyglądzie nasunąć mi było winno podobne przypuszczenie. Ale nie mogłem zebrać myśli, gdyż w tej chwili uczułem, że Stefa ścisnęła mnie za rękę. Starzec zmierzał w naszą stronę. Przystanął i uśmiechnął się dobrotliwie. „Prowadź mnie do ojca, moje dziecko" — rzekł cichym głosem do mojej narzeczonej. „Powiedz mu, że przybył Izaak Laquedem!".

— Izaak Laquedem? — wtrąciłem. — Znam skądś to nazwisko.

— I mnie zdawało się, że słyszę je wówczas nie poraz pierwszy — rzekł archiwarjusz. — Nie mogłem jednak zadawać pytań. Słowa starca wypowiedziane były tonem prośby, ale zarówno ja, jak i narzeczona, przyjęliśmy je jak rozkaz. Bez wahania, ulegając jakiejś przemożnej woli, ruszyliśmy przez ulicę św. Jana do domu ojca. Starzec szedł za nami, zadumany i milczący. Rzecz dziwna, nie spotkaliśmy na drodze nikogo, jakby mgła oddzieliła nas od reszty ludzi grubym, nieprzerwanym całunem.

— Zna pan kamienicę, w której mieszka, my. Stary to dom, jakkolwiek nie zdradza żadnych znamion zniszczenia. Być może, że było to dziełem wyobraźni mojej, ale wydało mi się wówczas, że budynek i jego sąsiedztwo otacza jakaś szczególna atmosfera, przenikająca z szczelin szarych głazów, spróchniałych belek i zetlałego drzewa. Brama, sień i schody, na które wstępowaliśmy, wszystko to było dobrze mi znane, a jednak wówczas wydały mi się, jakby wejściem do świętego przybytku, pogrążonego w zbożnej zadumie. Stefa weszła pierwsza do pokoju ojca, a ja tuż za nią. „Ojcze!" — rzekła drżącym głosem. — „Jakiś starzec chce się widzieć z tobą. Mówi, że zwie się Izaak Laquedem..."

— Sceny tej nigdy nie zapomnę. Tajemniczy wędrowiec stanął w progu. Spojrzenia przybysza i gospodarza domu spotkały się. Trupia bladość i błędny wyraz oczu ojca, który zaniepokoił mnie na chwilę, ustąpiły miejsca dziwnemu rozrzewnieniu. Nie był to już słaby, śmieszny czasami mieszczanin, ale człowiek, znający swoją wartość, dumny z zaszczytu, który go spotyka. Zaledwie mógł opanować wzruszenie. Głosem cichym, w którym przebijała jednak tłumiona radość, przemówił: „Witam Cię, Panie! Racz wstąpić pod mój dach. Czekam, jak czekali na Ciebie moi ojcowie". Wędrowiec pochylił głowę. „Znużony jestem", rzekł, „i pragnę spocząć. Wiedz jednak, że za gościnę mogę ofiarować ci tylko pięć centów". „Przyjmę je z podziękowaniem", odpowiedział ojciec.

— Wiele lat upłynęło już od tego dziwnego spotkania, a nie dotąd nie umiem zdać sobie sprawy z uczuć, jakich doznawałem w ciągu tej godziny, spędzonej przy stole w towarzystwie tajemniczego starca. I dziś nie silę się na ich analizę. Pomnę to tylko, że w głębi mej duszy budziły się i ginęły marzenia o czemś bliskiem i dalekiem zarazem, nieuchwytne cienie wspomnień i snów o prastarych, zamierzchłych czasach.

— Starzec mówił mało i wyrażał się w sposób zagadkowy. Zdaje się, że słowa jego przeznaczone były tylko dla gospodarza domu. Zasiedliśmy do wieczerzy. Przyglądałem się z ciekawością przybyszowi, który zdawał się nie zwracać na mnie uwagi. Chociaż w postaci wędrowca nie było nic takiego, coby świadczyło o wyższości lub niższości jego istoty, do zdziwienia, jakiego doznałem, kiedy wyłonił się niespodzianie z mgły i mroków, dołączyło się teraz uczucie czci i jakby obawy. „Nie masz syna?", zapytał. „Niestety, panie", odparł nasz gospodarz. „Córka moja jest jedynaczką". Starzec uśmiechnął się, spoglądając na Stefę: „Będzie szczęśliwą", rzekł.

— Zapadło znowu milczenie. Zdawało się, że obaj wolą porozumiewać się wzrokiem, że słowa uważają za nieodpowiednie w tej uroczystej godzinie. Wreszcie skończył się posiłek. Starzec wstał, pożegnał mnie i narzeczoną moją skinieniem głowy i przeszedł do przygotowanego dla niego pokoju. „Spełniłem powierzoną mi misję", rzekł, chwytając nas za ręce ojciec, powracając do pokoju. Wytrwałem na posterunku, jak moi przodkowie... ON to przerzekł wam.

— „On?" zapytałem. „A któż jest tym tajemniczym przybyszem?" Spojrzał na mnie i na córkę, usiadł przy stole i rzekł: „Niestety! Tajemnica moja zejdzie ze mną do grobu. Nie mogę przekazać jej synowi, gdyż go nie mam. I dlatego nie otrzymałem też żadnych zleceń na przyszłość. Wiedzcie jednak, że spełniła się rzecz wielkiej wagi. Pod dach mój zawitał gość znamienity, Izaak Laquedem, znany lepiej pod nazwiskiem Ahaswera, Żyda Wiecznego Tułacza... Nie, nie uważajcie mnie za szaleńca", dodał, widząc na naszych twarzach bezbrzeżne zdumienie. „Ten, którego ludzie nazwali Żydem Wiecznym Tułaczem, błąka się rzeczywiście po świecie. Setki lat trwa już jego wędrówka i nie widać jej kresu. Ludzie toną w dawnych grzechach, odwrócili się od Boga i nie chcą słyszeć o poprawie. Ale kiedy przepełnia się czara nieprawości, kiedy zło i przewrotność są już bliskiemi zwycięstwa, kiedy wszystko zdaje się głosić triumf szatana, zjawia się ON... Znacie tę legendę... Nielitościwy szewc nie pozwolił spocząć niosącemu krzyż Chrystusowi i z wyroku Boskiego musi się odtąd tułać po świecie, dopóki nie przyjdzie przebaczenie. Mór, wojna, klęski żywiołowe, wszelakiego rodzaju nieszczęścia towarzyszą każdemu jego przejściu. Wędrówka Ahaswera dokoła świata trwa zawsze sto czterdzieści lat. Zdąża on zawsze tym samym szlakiem, przez te same miejscowości... Świadczy o tem tradycja, świadczą odnośne zapiski... Moskwa, Kraków, Wiedeń, Lubeka, Hamburg, Bruksela — oto miasta, przez które wiedzie jego droga. Tak było w 1774 roku i wcześniej. Przejście Starca przez Kraków w 1634 r. było głośnem w całej Europie... W czasie ostatniego pobytu jego w Ypres, we Flandrji, zaszły pewne wypadki, które skłoniły Wiecznego Wędrowca do utrzymywania w tajemnicy każdego postoju. Krok w krok za nim idą Widma wszelakich klęsk żywiołowych..."

„Ależ ojcze", wtrąciła Stefa przerażona, „nie sądzisz chyba..."

„I ja mówiłem to samo ojcu memu", przerwał stary. „I ja przyjąłem z nieufnością twierdzenie jego, że rodzina nasza gości od niepamiętnych czasów Wiecznego Wędrowca. w czasie przejścia jego przez Kraków... Izaak Laquedem, Ahaswer, czy Kartafilus, zjawia się w Krakowie w okresie przed Wielką Nocą, w starym kitlu i fartuchu szewskim, prosi o nocleg, zasiada do wieczerzy, a przed udaniem się na spoczynek wydaje polecenia... Wspomniałem wam kiedyś o tradycji, która utrzymywała się w mojej rodzinie, że wstąpi pod nasz dach, jak wstąpił w 1774 r., jeśli pozostaniemy wierni zawodowi, który uprawiał... Przodkowie moi byli szewcami, aby okazać się godnymi zaszczytu, jaki nam wyświadcza, prosząc o gościnę zawsze za cenę drobnej monety. Z tego też tylko powodu każdy syn pierworodny w rodzinie naszej musiał zajmować się szewctwem...

— Obrzuciliśmy go pytaniami — mówił dalej archiwarjusz — nie wiedząc, co sądzić o całej tej sprawie, ale nakazał nam milczenie...

— Pomnę, że nocy tej nie zmrużyłem oka. Spotkanie z tajemniczym starcem i to wszystko, co słyszałem o nim od ojca narzeczonej, wytrąciło mnie z równowagi. Nie mogłem zebrać myśli. Sen odleciał odemnie daleko. Podniecony, rozgorączkowany, czekałem aż zbudzi się dzień. Zaczęło szarzeć, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Zerwałem się na równe nogi. „Już czas", usłyszałem głos ojca. „Lada chwila gość nasz wstanie i wyruszy w dalszą Wędrówkę".

— Ubrałem się z pośpiechem i wyszedłem do jadalni. W kilka minut później otworzyły się drzwi do pokoju starca, który zjawił się zupełnie gotowy do drogi. „Daj mi, synu, tylko kromkę chleba. Nie przystoi mi myśleć o zaspakajaniu głodu w czasie, który przeznaczony jest na umartwienie. Idźmy do kościoła!"

— Przypominam sobie dobrze tę niezwykłą wędrówkę przez puste, tonące w półmroku, ulice miasta. Zalewie mogliśmy za nim nadążyć. Wracał drogą, którą szliśmy wczoraj, na ulicę św. Jana, pod kościół OO. Pijarów. Przystanął na chwilę przed kryptą, jakby wahając się, a potem skręcił wbok i zaczął wstępować na stopnie, wiodące do kościoła. Nie wszedł jednak do środka, ale klęknął przed głównem wejściem i pogrążył się w modlitwie. „Nie śmie wejść, chociaż chce złożyć hołd Bogu, leżącemu w grobie", szepnął mi do ucha ojciec Stefy. I będzie musiał, jak tyle razy odejść, nim dzwony ogłoszą Zmartwychwstanie. Starzec modlił się żarliwie, a my klęczeliśmy opodal.

— Minęło pół godziny lub więcej. Wkońcu Wędrowiec powstał, zeszedł zwolna po schodach i widząc nasze wzruszone twarze, uśmiechnął się właściwym mu, chwytającym za serce uśmiechem. „Dziękuję ci, synu", rzekł, zwracając się do ojca Stefy". I wam dzieci. Ale czas w drogę! Nie danem mi jeszcze" dodał z boleścią, „znaleźć spokój i ukojenie. Gdzie tylko się zwrócę, widzę klęski i nieszczęścia. Krew znaczy moje ślady, przekleństwa i złorzeczenia dźwięczą mi

w uszach. Dla was jednak jestem zwiastunem szczęścia, które niech będzie podzięką za udzieloną mi gościnę. Ufaj, dziecko!", zwrócił się do mej narzeczonej. „Tyle lat, tyle lat...", szepnął. „Wieki całe...". Trwał przez chwilę w milczeniu. Sięgnął w zanadrze i wyjął pięć centów. „Przyjmijcie zapłatę od biednego grzesznika", rzekł, wręczając monetę mojej narzeczonej. Przełożył kostur do lewej ręki. Starzec spojrzał na nią z rozrzewnieniem, podniósł dłoń i położył ją na głowie dziewczęcia, które uklękło. Nachylił się i ucałował ją w czoło. Potem skinął głową ojcu i mnie i ruszył szybkim krokiem w stronę Florjańskiej Bramy. Opary, unoszące się nad przesyconym wilgocią brukiem i widoczne w załamach szarych kamienic spowiły go zaraz, niby przejrzystym płaszczem.

— — — — — — — — —

— Niech pan nie sądzi — rzekłem, pociągając archiwarjusza za rękaw i idąc z nim tą samą drogą, jaką w opowiadaniu jego obrał Wędrowiec — że nie potrafię ocenić właściwego znaczenia tej historji. Żyd Wieczny Tułacz, to symbol tęsknoty człowieka za ideałem, wiecznej gonitwy jego za szczęściem, którego osiągnąć niepodobna. To wyobrażenie ciągłej wędrówki duszy przez...

— Myli się pan — przerwał, jakby urażony. — Opowiedziałem historję prawdziwą, historję z mojego życia, którą mogę poprzeć dowodami. Popatrz pan! — Sięgnął do kieszeni i wyjął zniekształconą blaszkę niklową, w której z trudem poznałem dawne dziesięć halerzy austrjackich. — To pięć centów Wiecznego Tułacza. Żona dała mi je w sukiennym woreczku, kiedy wybierałem się na wojnę. Talizman ten ocalił mnie od śmierci Oto ślad rosyjskiej kuli, która zatrzymała się na niklowej monecie...

— Dar Żyda Wiecznego Tułacza — rzekłem z przekąsem. — Nie będziemy się sprzeczać. A więc pan sądzi, że Żyd Wieczny Tułacz, Ahaswer, Kartafilus, jak go tam ludzie nazwali, przeszedł przez Kraków w owym czasie?

— Opieram się na faktach. Kto nie przeżył 1914 roku, może być sceptykiem. Ale kto, jak ja, słyszał, jak ziemia drżała przez tygodnie i miesiące od huku dział, których pociski niszczyły wioski i osady, pustoszyły pola i ogrody... Kto spoglądał na rosnące w oczach cmentarzyska, na setki trupów ludzi, zmarłych z głodu, ten wątpić nie może. Zebrała obfite żniwo w całej Europie, ale ominęła Kraków, ominęła miasta, które użyczyły gościny Tułaczowi.

ŚWIAT, KTÓRY ODSŁANIAJĄ PROMIENIE ROENTGENA.

Zastosowanie promieni Roentgena w medycynie jest rzeczą ogólnie znaną. Wiadomo, że dzięki szczególnej zdolności tych promieni a mianowicie dzięki przenikaniu przez tkanki organizmu ludzkiego, można użyć ich do wykrycia uszkodzeń lub obcych ciał w ciele ludzkiem. Ale promienie te nie przenikają wszystkich tkanek w jednakowy sposób. Zupełnie tak samo zresztą jak zwyczajne światło, dla którego szkło i cienkie błony są zupełnie przeźroczyste ,inne zaś materjały są nieprzeźroczyste. Właśnie dzięki tej niejednakowej zdolności przenikania przez różne składniki ciała ludzkiego, można zorjentować się co do wewnętrznej budowy danej części organizmu, prześwietlonej promieniami Roentgena. Największy cień rzucają bowiem na ekran te części organizmu, które zawierają cięższe pierwiastki, jak np. szkielet kostny. O wiele mniej już inne tkanki. Te ogólne zasady stosowania promieni Roentgena dla celów diagnostycznych w medycynie przypominamy tu dlatego, że na ich podstawie opiera się także zastosowanie tych promieni dla zgoła innych celów, tj. dla celów technicznych, przemysłowych i naukowych. Podczas, gdy jednak w medycynie dla celów diagnostycznych stosuje się promienie Roentgena wytworzone pod napięciem około 50 do 60 tysięcy Volt, to w technice musi się stosować o wiele większe napięcie, a mianowicie około 250 do 400 tysięcy Volt. Jest to zrozumiałe, jeżeli uwzględnimy, że zdolność przenikania promieni Roentgena zależna jest od wysokości napięcia elektrycznego a w technice mamy do czynienia przeważnie z materjałami. które już w cienkiej warstwie pochłaniają bardzo znacznie promienie Roentgena i nie przepuszczają ich. Musimy zatem zwiększyć napięcie tak silnie, aby otrzymać promienie o takiej sile przenikania, by mogły one posłużyć dla tych celów, które w praktyce są potrzebne. Te lampy roentgenowskie, które mają zastosowanie w przemyśle, są też odpowiednio większe i nieco inaczej zbudowane. Warto przypomnieć, że największą lampę Roentgena dla celów technicznych posiada w Polsce Zakład metalurgiczny Akademji Górniczej w Krakowie.

Dzięki użyciu promieni Roentgena można poznać budowę kryształów, a tem samem posługiwać się temi promieniami jako środkiem rozpoznawczym przy różnych badaniach. Na załączonych fotografjach widzimy jak wyglądają zdjęcia dokonane promieniami Roentgena z różnych kryształów. Uderza zjawisko interferencji, która przypomina analogiczne zjawisko przy promieniach świetlnych, jeżeli puścimy je przez t. zw. siatkę dyfrakcyjną. Jest to zarazem jeden z dowodów, że promienie Roentgena są rodzajem światła niewidzialnego o bardzo krót-

(Dokończenie na str. 22).

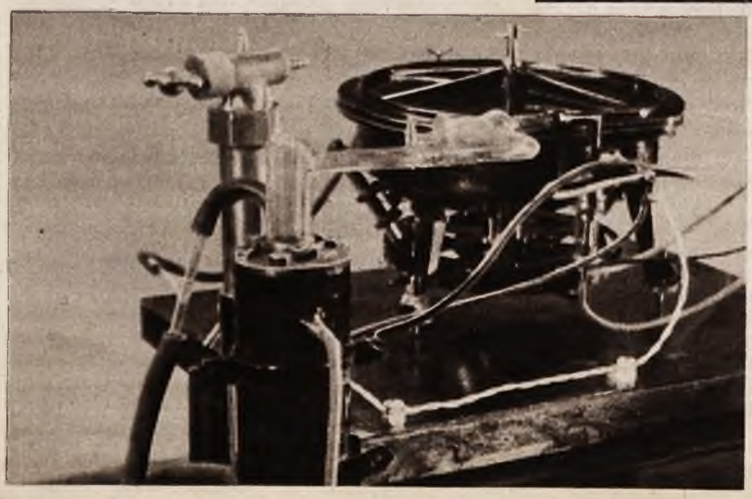


Na zdjęciu widzimy ciekawe zjawisko powstające przez załamanie promieni na tak zw. siatce dyfrakcyjnej.

Poniżej: A oto zdjęcie otrzymane przez przepuszczenie promieni Roentgena przez kryształ. Na skutek zjawiska interferencji otrzymujemy figury, odznaczające się symetrją szczególnego rodzaju.



Poniżej: Część składowa aparatury Roentgena służącej dla celów przemysłowych. Widoczne są pompy dla wytwarzania próżni.



Poniżej; Badania tworzywa zapomocą promieni Roentgena stosuje się również do drzewa. Oto jak się bada drewniane śmigło samolotowe aparaturą Roentgena.



NASZA ANKIETA

Który moment w życiu zadecydował o mej karjerze?

STANISŁAW DRABIK

pierwszy tenor opery królewskiej w Belgradzie

Pewnego styczniowego poranka pojawiły się na murach stolicy wielkie afisze, na podstawie których uważny czytelnik mógł się przekonać, że istnieją na świecie możliwości, o których nie śniło się... najznakomitszym politykom. Były to plakaty Opery Warszawskiej, donoszące o gościnnych występach dwojga znakomitych śpiewaków, pod których nazwiskami umieszczono ich niecodziennie brzmiące tytuły: Marja Maksakowa — zasłużona śpiewaczka Związku Sowieckich Republik Rad oraz Stanisław Drabik — pierwszy tenor Opery Królewskiej w Belgradzie. A więc Sowiety i Królestwo! Zgodnie, na jednej scenie, w jednem przedstawieniu. Sowiecka Carmen i królewski Don Jose. Co za wspaniały figiel wypłatany przez Melpomenę, nie uznającą — jak widać — politycznych różnic doczesnego świata!

Stanisław Drabik, nasz doskonały tenor, znany scenom operowym całej Polski, przebywał ostatnio w ciągu czterech lat w Jugosławji. Znane są z prasy tamtejsze jego sukcesy na polu artystycznem nietylko jako śpiewaka operowego, ale również propagatora polskiej sztuki. Dzięki staraniom p. Drabika sceny jugosłowiańskie przyjęły do swego stałego repertuaru polskie opery: „Halkę“ Moniuszki i „Casanovę“ Różyckiego. Wystawiane od czterech lat w inscenizacji i reżyserji p. Drabika na scenach Belgradu i Zagrzebia zyskały sobie wspaniały sukces. Za swą działalność otrzymał artysta jugosłowiański order św. Sawy oraz polski Złoty Krzyż Zasługi. Obecnie bawi p. Drabik na gościnnych występach w Polsce, między innymi w Warszawie, gdzie na deskach Teatru Wielkiego — Opery zdobył sobie uznanie publiczności i krytyki partjami Don Josego w „Carmenie“. W operze tej — jak wspomniałem — wystąpił p. Drabik równocześnie z wybitną śpiewaczką sowiecką, Maksakową.

P. Stanisława Drabika postanowiłem więc przedstawić Czytelnikom „Asa“ i „wciągnąć“ go do naszej ankiety o „decydującym momencie w życiu“. Intuicją dziennikarską przeczuwam, że artysta przeżyć musiał dwa takie momenty: pierwszy, który zadecydował o wyborze zawodu śpiewaka operowego i drugi, który stał się początkiem karjery p. Drabika, jako „ambasadora“ naszej muzyki operowej w Jugosławji.

Przeczucie mnie nie zawiodło. Wspomnienia naszego śpiewaka okazały się jakby stworzone dla mego wywiadu. Z zadowoleniem przy tem stwierdziłem, iż — jak przystało na rasowego śpiewaka operowego z krwi i ze... strun głosowych, obydwie te chwile przełomowe widzi pan Drabik w dwóch piosenkach. Pierwszą z tych piosenek poprzedzały poza tem pewne, dość mglisto rysujące się w przeszłości, przeżycia w domu rodzicielskim. Nie chcę być niedyskretnym i nie obmawiam mego uprzejmego rozmówcy. Ale mój Boże — przecież każdego z nas za dziecinnych lat zapędzano do nauki nietylko dobrem słowem. Poza dobrem słowem istnieje jeszcze pewna miła instytucja, zwana poprostu... kijem! No a pomimo wszystko wyrośliśmy na porządnych ludzi!

Oto co usłyszałem od naszego artysty belgradzkiego:



Znany artysta i pierwszy tenor królewskiej opery w Belgradzie, Stanisław Drabik.

— Że w życiu swem będę miał w każdym razie coś wspólnego ze śpiewem, o tem wiedziano już w dniu mego urodzenia. Tak przynajmniej wieść rodzinna niesie. Podobno po urodzeniu się bardzo krzyczałem! Pewna osoba, towarzysząca stale podobnym uroczystościom familijnym, rzekła wówczas stanowczo: „Cosik ten mały dziwnie krzyczy. Jakby śpiewał. Pewnikiem będzie organistą!“. Niestety — mówi artysta — organistą nie zostałem, ale śpiewam. Już jako chłopiec szalałem za teatrem. W związku z tem były nawet w domu... no, wie pan, takie drobne „utarczki“ z ojcem. Ojciec kazał się uczyć, a ja wolałem wycinać z papieru kulisy, aktorów i budowałem sceny teatralne. Pamiętam, była nawet raz tak zwana „grubsza“ historja: chciałem rodzicom zrobić niespodziankę i w Boże Narodzenie zagrać im Jasełka. Gdy wyszli do kościoła, zbudowałem teatr. Poszły w ruch wszystkie krzesła, deska od prasowania, portjera, kapa ze stołu... no może pan sobie wyobrazić co się później działo!

— Tak, wyobrażam sobie!

— Równocześnie paliłem się też do śpiewu pomimo, iż w gimnazjum ze śpiewu miałem zawsze stopień...

— Zapewne celujący?

— Nie! Niedostateczny. Tak, a to dlatego, że kazano mi śpiewać drugim głosem (miałem dobry słuch) a ja się rwałem zawsze do tenorów. Z tego też, a nie z innego powodu mój gimnazjalny ksiądz katecheta usunął pewnego razu sromotnie z chóru kościelnego pierwszy chór, jaki zorganizowałem, mając lat kilkanaście.

— Więc karjera artystyczna zaczynała się wcale nie wesoło?

— Przyszła jednak owa cudowna, decydująca piosenka. Zaczynała się od słów „Kaczka pstra dudki ma“. Śpiewałem ją na przedstawieniu pewnego kółka amatorskiego w Krakowie. Ponieważ umiałem grać na skrzypcach, powierzono mi rolę Jędrka-Mędrka w Jasełkach Rydla. Na przedstawieniu był obecny znany muzyk prof. Bursa. Zainteresował się moim głosem, widząc w nim moją przyszłość. Wziął mnie do swej szkoły i kształcił. Nie tak długo potem debiutowałem w Operze Poznańskiej, jako Jontek w Halce. Miałem wówczas 20 lat.

— Więc decydującym momentem — powtarzam — jest piosenka „Kaczka pstra“. Któżby przypuszczał!

— Ano widzi pan, jak to w życiu bywa!

— A jakże było z drugą piosenką?

— Druga piosenka, która zadecydowała o mej karjerze — jeśli tak można powiedzieć — jugosłowiańskiej, to piosenka serbska pod tyt. „Majka“ (matka). Towarzystwo Polsko-Jugosłowiańskie w Poznaniu urządzało w roku 1930 Akademję pod protektoratem posła jugosłowiańskiego w Polsce, p. Lazarewicza. Na tej Akademji miałem śpiewać. A że uroczystość zamierzano transmitować przez radjo do rozgłośni jugosłowiańskich, postanowiłem zrobić Jugosłowianinom niespodziankę. Zaśpiewałem pieśń serbską i to po serbsku. Audycji słuchali w Belgradzie dyrektorzy tamtejszej Opery. Jeden z nich wybierał się właśnie do Polski. Nawiązał ze mną kontakt. Zaangażowano mnie początkowo na trzy występy gościnne...

— Dalej już wiem — przerywam śpiewakowi. — Zdobył pan odrazu wielki sukces. Nie chcieli pana wypuścić od siebie i niezwłocznie przedłożyli do podpisu kontrakt na trzy lata.

— Tak jest. Podpisałem go, ale pod warunkiem, że wystawię polskie opery.

— I polskie opery poszły z niebywałem powodzeniem. „Halka“ szła podobno coś 20 razy.

— Tak, około 10 razy w Belgradzie i tyleż w Zagrzebiu.

— I to dzięki owej szczęśliwej audycji radjowej?

— Ano tak — potwierdza z miłym uśmiechem pan Drabik. Widzi pan co zrobić może piosenka!

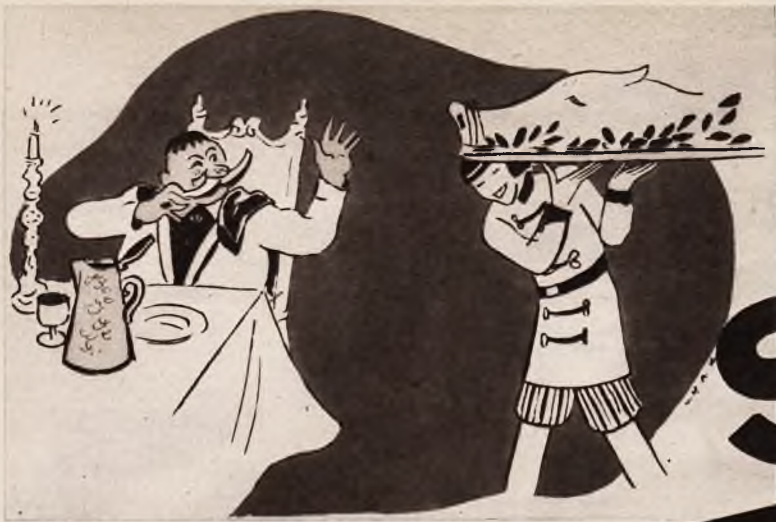
— A może nie piosenka — zapytuję. Może owo umiłowanie pieśni, owa dusza śpiewaka, jaką wkłada pan w swój śpiew?

Na to pytanie p. Drabik, który mimo swych sukcesów artystycznych pozostał skromnym, cichym człowiekiem, oczywiście nie udzielił mi odpowiedzi.

rb.

STUDJUM
Presse Photo — Berlin.





Szkoła smakoszów

Czy podać sos tatarski czy Kabul —? zapytał kelner, nachylając się do mego ucha, jakby mi chciał powierzyć ważny sekret.

— Wszystko jedno — odparłem lekceważąco.

Mój przyjaciel, „spec“ w rzeczach gastronomji, spojrzał na mnie z wyrzutem.

— Jesteś kompletnym ignorantem i co gorsza, nie chcesz się niczego nauczyć!

Zmiarkowałem, że wsiadł, jak to mówią, „na swego konika“. Cały obiad zeszedł nam na rozmowie kulinarnej, obficie popartej cytatami, nad wszelką pewność przekonywującemi.

Wtedy to, siedząc w Hotelu Angielskim w Warszawie, słuchając uważnie uwag mego przyjaciela i zerkając od czasu do czasu na piękną sąsiadkę, siedzącą opodal, zrozumiałem, czem jest i czem może być dla człowieka kuchnia i dobre jedzenie. Oczywiście, że mówię tu o arystokracji kuchennej, o t. zw. smakoszach, zwanych przez Francuzów „gourmet“, „fine gueule“, a nie „gourmand“, co określa tylko żarłoczność bez względu na wybredność w jedzeniu.



Dzisiaj zagadnienia kuchni są prawie, że anachronizmem. Karmią nas seryjnemi bifsztykami, sznyclami, każą wierzyć w doborowość masła, w świeżość mięsa. Ale do tego potrzeba nieraz dużo dobrej woli... i łatwowierności. Dobre jedzenie dla niewielu tylko stanowi „sztukę“, zwykle je się, aby nie być głodnym. Mamy wprawdzie i dziś „asy“ tej sztuki, takiego pana Curnonsky w Paryżu (zapewne Polaka z pochodzenia), ale to wyjątki. Dawniej, za czasów kiedy mieli ludzie czas i zdrowie, a nadewszystko pieniądze na dobre jedzenie, stanowiło ono jeden z uroków życia. Wiemy, że najsławniejsi ludzie ówcześni byli smakoszami, a nieraz żarłokami. — „Przywódcą“ smakoszów był wtedy pan Brillat-Savarin, autor wydanej w roku 1825 książki „Physiologie du Goût“. Ludwik XIV zjadał olbrzymie ilości mięsa, to samo wnuk jego Ludwik XV i Ludwik XVI, jak zresztą wszyscy nieomal Bourbonowie, Fryderyk Wielki wprawdzie kłócił się o wydatki ze swym kucharzem, ale też miał zdecydowane oblicze w kwestjach kulinarnych, a z wyjątkiem Napoleona I, który jadł prędko i bez wyboru wszyscy wielcy ludzie byli smakoszami. Wszak takiego Balzaca uwieczniono w stroju kucharskim, a Mickiewicz znał się na kuchni, wzdychając za polskiemi potrawami zagranicą i opisując je szczegółowo w „Panu Tadeuszu“.

Naokoło stołu biesiadnego gromadziło się w dawnych wiekach życie towarzyskie, tam też omawiano najważniejsze sprawy państwowe. Dobre jedzenie i dobry trunek były osiami, naokoło których kręciło się życie zamków, dworów monarszych czy też bogatych domów mieszczańskich. Stąd wielki kult jedzenia, stąd w niem umieszczano nieraz punkt honoru.

Gdy przeglądamy spis wielkich nazwisk, które figurują na kartach dziejów sztuki kulinarnej, spotykamy tam niebylejakie osobistości: oto potrawę z ryżu „wymyślił“ hrabia von Trauttmansdorff, austrjacki dyplomata, „boeuf à la Strogonoff“ przypomina nam rosyjskiego ministra, zrazy nelsońskie znów słynnego admirała, zwycięzcę z pod Abukir, neapolitańskiego księcia Bronte i kochanka lady Hamilton, filet à la Pompadour, słynną kurtyzanę, indyk à la Régence ks. Orleańskiego, melba z owoców wymyślona została przez słynną śpiewaczkę australijską Melbę i stanowi jednaką dla nie glorję, jak jej głos, a brzoskwinie à la Chantilly łączą się z królewską rezydencją francuską, gdzie powstał ich pomysł. Ciekawem jest, że kuchnia średniowieczna i czasów renesansowych odznaczała się wielką ozdobnością, że kucharze ówcześni kładli nacisk na zewnętrzny wygląd potraw, stąd upodobanie w podawaniu całych pawi z piórami, bażantów, dzików itd, a odpowiednie rozkrajanie potrawy dla gości stanowiło przywilej pana domu, co zresztą w angielskim high-life'ie dochowało się do dziś dnia. Chęć przyozdobienia potraw posuwała się tak daleko, że nieraz potrawa bardziej przypominała dzieło sztuki, jak jedzenie; to samo zresztą upodobanie spotkamy w Polsce, gdzie preparowano liczne ko-



Staropolska malowana szklanica, zwana „vitrum gloriosum“. Muzeum XX Czartoryskich.

Na lewo: Przy ucztach weselnych wznoszono toasty z dwoistego puharu, zwanego „kubek w kubek“. Na brzegu jednego z kubków rytowane są nazwiska ofiarodawców. Ze zbiorów Wł. Łozińskiego.



Na prawo: Łyżki w bogatych domach staropolskich miały nieraz dużą wartość artystyczną, posiadając piękne ozdoby, wygryte sentencje i herby.

lorowe sosy, tak zwane „juchy", na które poświęcano wiele kosztownych korzeni.

Lecz jakżeż odbiegliśmy gustami kulinarnemi od naszych przodków! To, co im smakowało, budzi u nas politowanie, a przedewszystkiem podziw dla ich silnych żołądków! Zobaczmyż, co jadano w Polsce np. w XVII wieku: „Dobry kapłon przed gody, albo w mięsopusty, schab karmnego wieprza tłusty. Nie odrzucę wołowej pieczeni lub i skopowej w jesieni, lub z sałatą cielęcina lub na powtórki przy sałacie i ogórki" — pisze jeden z ówczesnych pisarzy. Wiemy, że ulubionemi potrawami ówczesnych Polaków były sarnie kiełbasy, groch z ciasta, kasza jęczmienna, pierogi i kluski z serem, kapusta kwaśna z wędzoną słoniną, łazanki gryczane w makowem mleku, na wety zaś ser, śmietana, owoce, cukry i groch, roztarty ze słoniną, co stanowiło specjalny przysmak. Wiemy, że ówcześni ludzie lubowaili się w słodyczach i tak np. na dworze Stefana Batorego znajdowały się w pokojach duże skrzynie z słodyczami, z których król i dworzanie czerpali różne smakołyki. Jakkolwiek zachowały się tylko



Uczta u króla Jana III w Jaworowie, dnia 6 lipca 1684 r. według sztychu współczesnego. Obok Jana III siedzi po lewej ambasador cesarski, po prawej zaś na trzeciem miejscu królowa Marysieńka.



Rozbijanie puhara o głowę należało do zwyczajów biesiadnych.

nieliczne notatki o kuchni staropolskiej, to jednak mamy takie „menu" z przyjęcia weselnego: na pierwsze „dawanie" były tam kapłony w całku, pawie pieczone z saporem, polędwice jelenie, ciasto formiane, na drugie zaś „dawanie" zwierzyna słona, potrzęsiona cukrem miałkim i migdałkami, baranki angielskie w czarnej jusze, pasztety, czosnek, kapłon do małmazji, na trzecie „dawanie" kapłon z zieloną juchą, cukrowany, raki z masłem i pieprzem, ciasto i sapory. Jak widzimy gusty kulinarne nasze odbiegają znacznie od podniebienia naszych przodków. Co najbardziej rzuca się w oczy w dziedzinie kulinarnej to rozliczność używanych przypraw. Podróżnik francuski Beauplan twierdzi, że w zamożnym domu używano rocznie za 10 tys. talarów przypraw: jest to przesada, ale znamionuje upodobanie Polaków do ostrych i kosztownych przypraw. Funt pomarańczy kosztował w r. 1648 na pieniądze przedwojenne około 25 koron austrj., funt cytryn 16 kor., funt kwiatu muszkatułowego 100 koron, funt szafranu aż 200 koron, funt pieprzu 8 koron itd. Nawet cukier był wtedy bardzo drogi: gdy król Stanisław August wjeżdżał do miasteczka Kobryniu w r. 1784, kahał żydowski przywitał go ofiarowaniem... głowy cukru!

A jak zewnętrznie przedstawiał się bankiet staropolski? Kto w nim uczestniczył? I tu zaszły, jak można łatwo zrozumieć, wielkie zmiany w porównaniu z dniem dzisiejszym. Polacy nie biesiadowali sami, lecz za każdym gościem stała jego służba, albo przynajmniej najbardziej zaufany służący. Nie jadano w zbyt wielkiem gronie, chyba, że chodziło o wystawne przyjęcie, fetę rodzinną, wesele itd. zwykle zaś w 5—6 osób. Przed każdym gościem stała flaszka z winem, przed gospodarzem zaś liczne puhary, kubki, szklanki, z których pił zdrowie gości. Przez gospodarza rozpoczęty puhar szedł z ręki do ręki. Jeżeli piło zdrowie bardzo znamienitej osoby, to według starodawnego zwyczaju, tłuczono go o swą głowę! Z tej okazji istnieje relacja odnosząca się do hetmana Jana Karola Chodkiewicza, który w Tołoczynie wypiwszy zdrowie króla Zygmunta III, rozbił kielich o swą głowę, na co król miał się odezwać: „Miły Panie Hetmanie, nie tłuczcież tej głowy, siła nam na niej zależy!" Zwyczaj ten istniał do XVIII wieku, a piszą o nim ówcześni pamiętnikarze.

Tak, jak klejnoty i wogóle zewnętrzny zbytek domu czy zamku staropolskiego pochłaniał większość dochodów, tak też i uczty były nadwyraz ekspensowane. Im uczta taka była bardziej wystawna, im więcej uwijało się przy stołach służby i im rzadsze i droższe wina podawano, tem większą famą cieszył się gościnny dom. A win pito przeróżnych: „witpachery, rozekiery, rywuły, małmazje". W opisie Warszawy przez Jarzemskiego znajdujemy obszerną notatkę o pałacu Kazanowskich, w którym znajdowały się srebrne fontanny, z których tryskały strumienie wina greckiego, włoskiego, hiszpańskiego i innych. Na święcone u Sapiehów w Dereczynie wina cypryjskie znajdowały się w tylu konwiach, ile było miesięcy w roku, a inne trunki stały w srebrnych baryłkach. — Zastawa była w domach bogatych srebrna lub nawet złota, w uboższych cynowa lub nawet drewniana. Obok talerza kładziono łyżkę i kawałek chleba, obrusy były nieraz bardzo kosztowne, a półmiski nie stawiano wprost na obrusie, lecz na tacach metalowych, t. zw. „prawdach". Nóż i widelec przynosił każdy gość ze sobą, a dopiero w pocz. XVIII wieku w niektórych domach pojawiło się kompletne nakrycie dla gości.

Gdy uzmysłowimy sobie te wszystkie szczegóły, spostrzeżemy, jak dalece odmienni jesteśmy od naszych przodków i jak inaczej pojmujemy komfort kulinarny!

Jan Maleszewski.

Poniżej: Bankiet na dworze Augusta III według współczesnej ryciny. Obok króla siedzi królewicz Karol, a liczni dworzanie asystują przy uczcie.



5 PORTRETÓW

Przed witrynami kin i teatrów rewjowych gromadzą się tłumy publiczności. Przypatrują się długo i uważnie wystawionym fotografjom reklamowym.

Witryny te stały się — magnesem przyciągającym publiczność. Na kilkunastu tych obrazach znieruchomiała nagle treść filmu. Tworzy to jakby ciekawą zagadkę — wycinankę. Z luźnych fragmentów odgadnąć czy film jest dobry, ciekawy — jaka jest jego treść!

Lecz przedewszystkiem przypatrujemy się tym fotografjom, by ujrzeć naszych ulubieńców. Fotos filmowy — początkowo robiony jako wycinek z filmu — stał się dziś czemś więcej: portretem aktora, czy aktorki filmowej. Zwrócono baczniejszą uwagę na tę dziedzinę propagandy filmowej. Specjaliści-fotografowie udoskonalili zdjęcia — i dziś w witrynach wielkich kin widzimy fotografje naprawdę artystyczne, technicznie świetnie wykonane.

W budżetach gwiazd filmowych znaczne sumy przeznaczone są na fotografje. Artyści i artystki filmowe nie ograniczają się tylko do zdjęć prasowych, czy wykonywanych przez ich własną wytwórnię. Fotografują się często z własnej inicjatywy, wiedząc dobrze, że udana fotografja stanowi doskonały materjał propagandowy. Dobrze wykonaną technicznie fotografję umieści każde pismo ilustrowane. A ile fotografij trzeba jeszcze rozsyłać z dedykacjami wielbicielom, czy wielbicielkom, rozsianym po całej kuli ziemskiej!

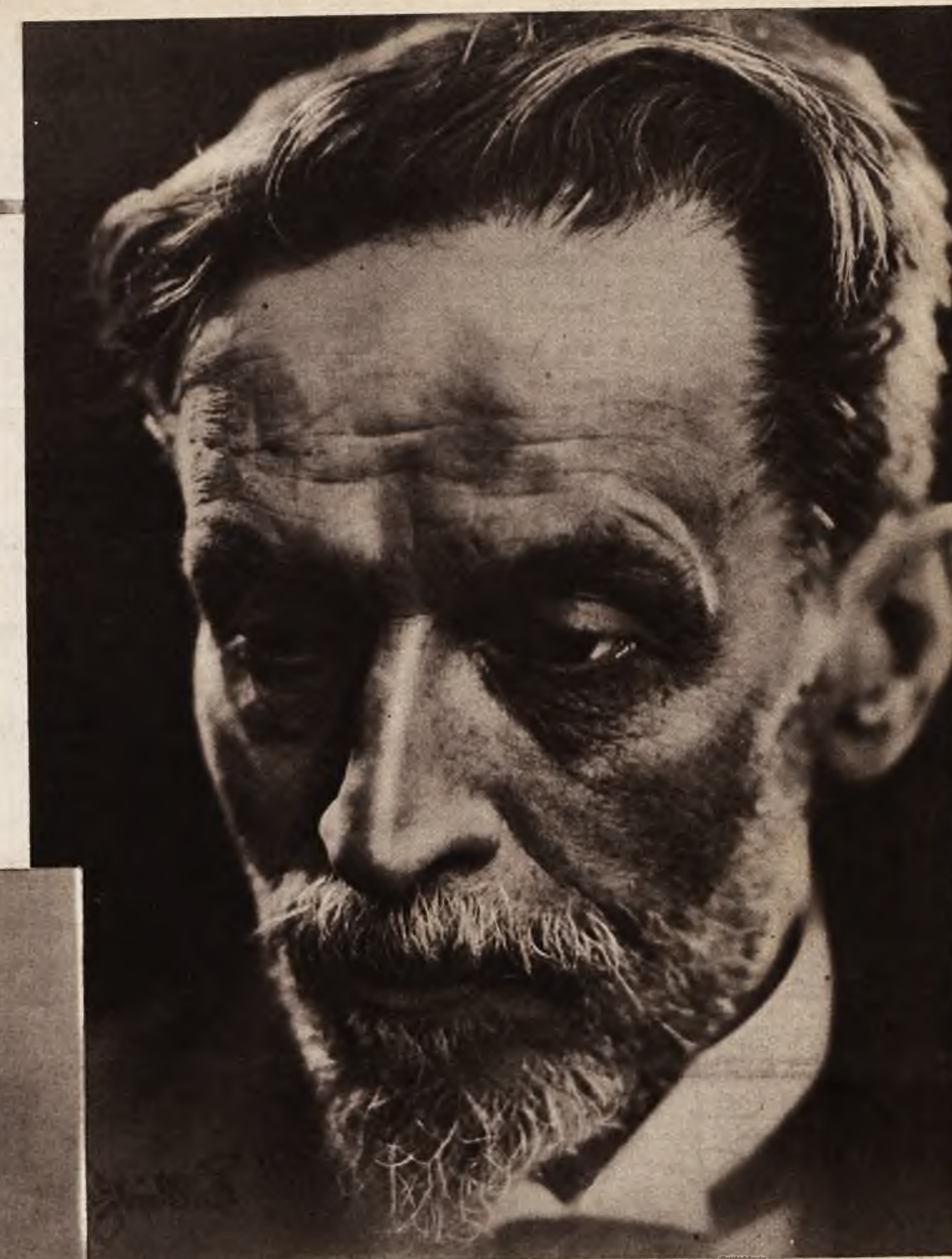
Również i gwiazdy rewjowe kładą wielki nacisk na propagandę fotograficzną. W witrynach teatrów rewjowych — nie widać już prawie zdjęć poszczególnych scen rewjowych. Na pierwszy plan wybijają się portrety czołowych gwiazd.

Fotografje te, coraz bardziej doskonałe, są prawdziwą ozdobą owych witryn, jak też i pism ilustrowanych, obficie z tego materjału korzystających.

Z. G.



Jeni Legon, występująca w rewji Cochrana „Follow The Sun" w Londynie. Fot. Yevonde — Manchester.





Powyżej: Prof. F. K. — Fot. Willinger, Wiedeń.
Na lewo: Raoul and Eva Reyes, argentyński duet taneczny. Fot. Yevonde — Manchester.



***Na prawo:* Myra Truska laureatka międzynar. konkursu filmowego na Węgrzech.** *Fot. Willinger, Wiedeń.*



***Na lewo:* Znakomita francuska artystka filmowa Anabella, żona Jean Murata.** *Fot. Willinger, Wiedeń.*
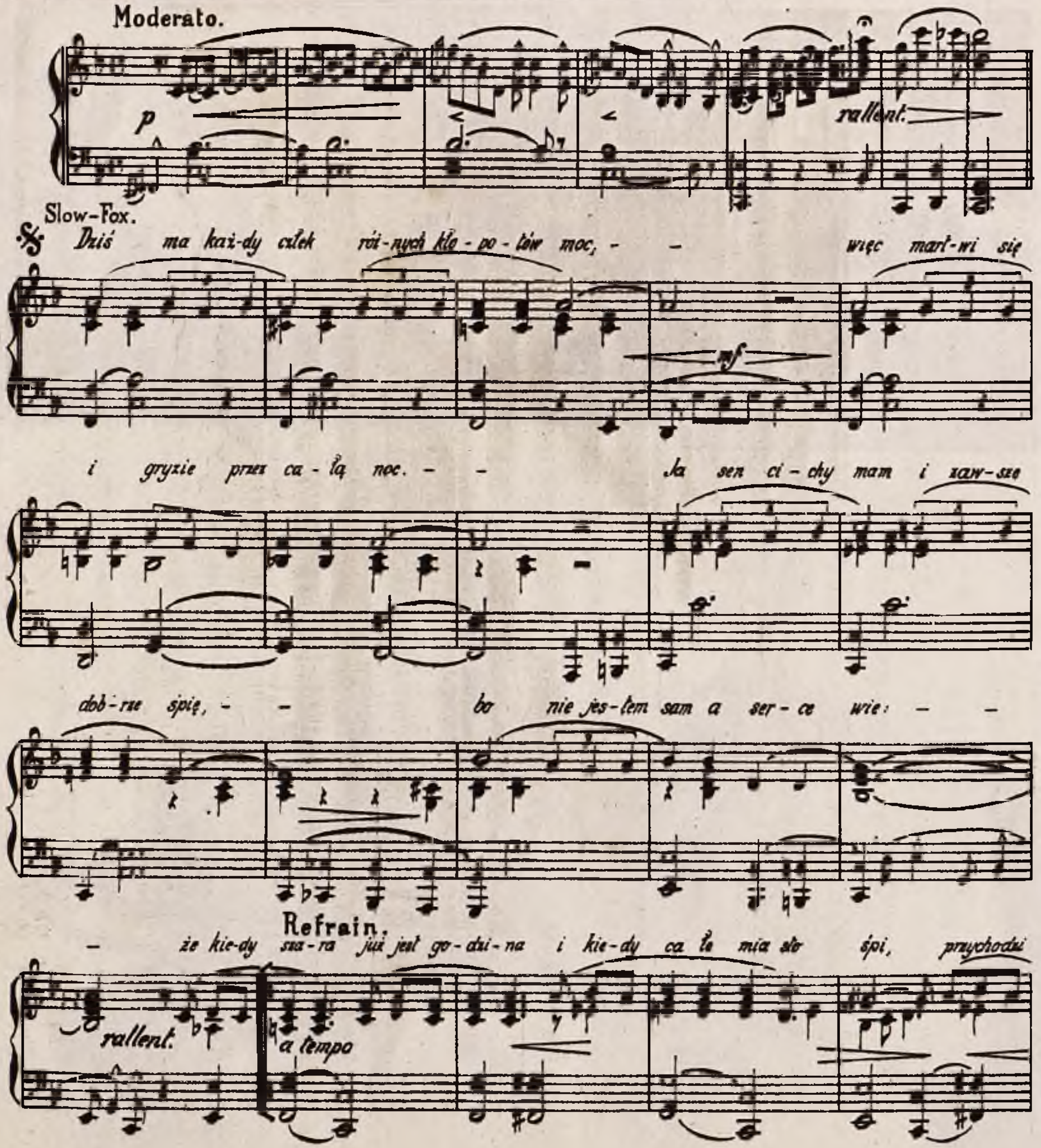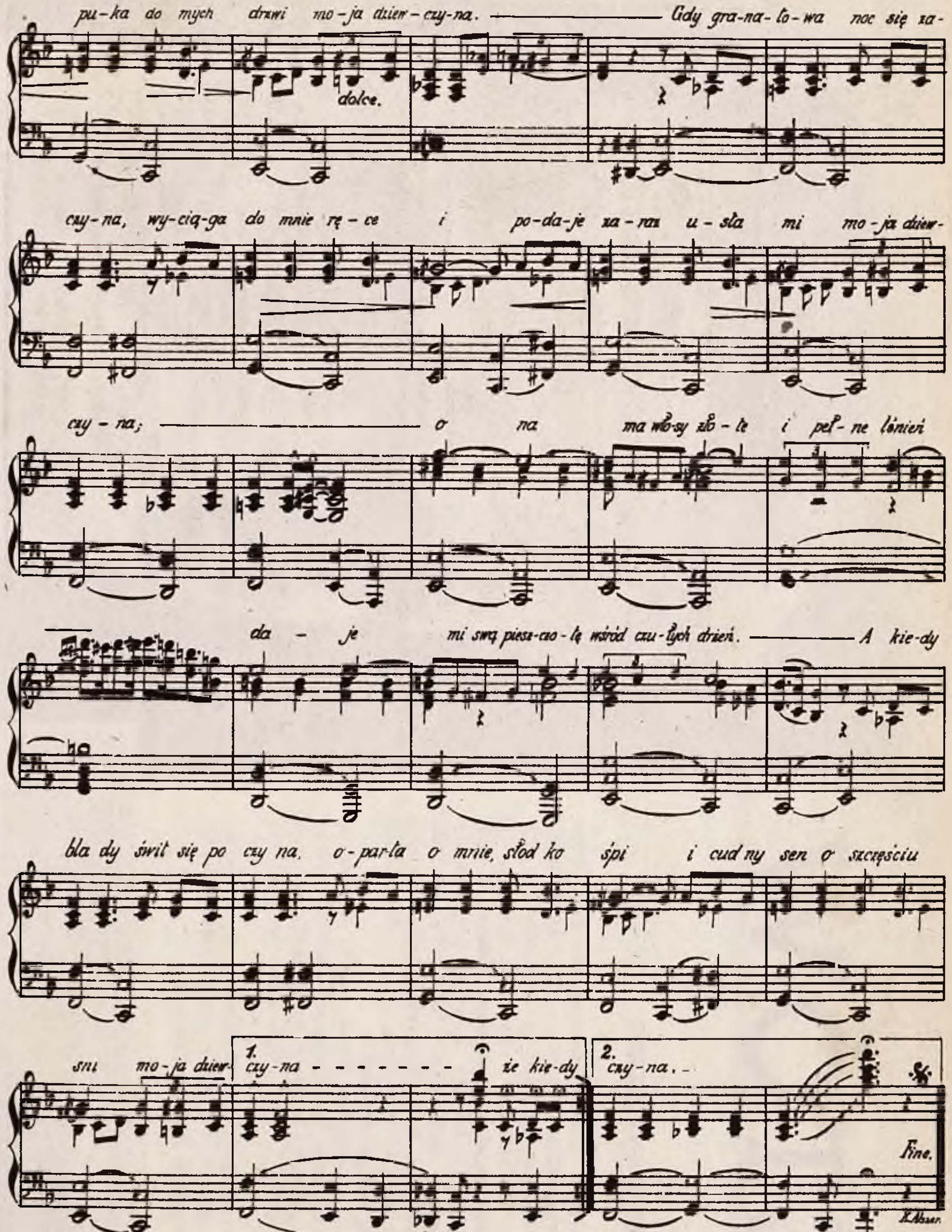


Przebój „Wesołej Fali Lwowskiej"

MOJA DZIEWCZYNA

SLOWFOX-PIOSENKA

SŁOWA I MUZYKA ZYGMUNTA ŁASZCZA







Na pięknym manekinie każda suknia wygląda czarująco.

Żywa REKLAMA



Człowiek na szczudłach jest częstem zjawiskiem reklamowem na ulicach wielkich miast.

Reklama! Codzień prasa woła głosem miljonów egzemplarzy o zaletach kremu piękności i gumowych podwiązek, nie można zapomnieć, że „Radion sam pierze", że leczniczą jest kawa Kneippa... Ulice są tunelami propagandy towaru — plakaty, wywieszki, witryny sklepowe i szyldy kuszą, obiecując zadowolenie i nieprzebrane korzyści. Pan Smith w Buffalo wymyślił nowy system szelek, pan Brown sposoby reklamowania ich, przekonywania „niewiernych" o ich zaletach i doskonałości. To drobiazg, że są ci one niepotrzebne, ich obraz będzie cię wszędzie ścigał a nazwa bezustannie prześladować, aż wreszcie znajdziesz się omotany w ich splotach i kupisz za tyle a tyle najlepsze patentowane szelki Smith'a.

To jest reklama: propaguje ona wszystsko i wszelkiemi środkami, musztardę i kino, literaturę i sztuczne protezy. W swą orbitę wciąga radjo i film, rysunek i melodję, prasę i wszelkie wynalazki techniki. Dla niej pracują w wielkich firmach całe sztaby generalne, obmyślające nowe kampanje propagandowe, całe brygady grafików i literatów, piosenkarzy i handlowców. Ona to rozpina nocą nad miastem wielobarwną jarzącą sieć pajęczą neonów, sidlających wzrok przechodnia, gasi i zapala tysiące lampek monstrualnych liter, tryska fontannami świetlnych elektrycznych kropel. Przez szare gardziele kinowych megafonów wabi tęskną melodją obcych, nieznanych piosenek.

W tej wielkomiejskiej symfonji reklamy użyto wszystkich instrumentów, wszelkich możliwych środków, niezapomniano naturalnie i o człowieku. Człowiek jest tani, coraz tańszy, czemuż go nie użyć, aby głosił zalety gąbek, czy pasty do butów, reklamował sobą filmy i kapelusze? Zawsze znajdzie się dość chętnych, ba! nawet tak wielu, eż można będzie wśród nich wybierać. W wirujący krąg wplata się nowy obraz i nowy głos żywej reklamy.

We wspaniałych, lśniących od złoceń i kryształów sanktuarjach mody, wnętrzach wielkich zakładów krawieckich, odbywa się pokaz mód, rewja żywych manekinów. Po puszystych dywanach bezszelestnie przesuwają się modelki w olśniewających kreacjach, kompozycjach lam i piór, futer i koronek. Suną lekkim, swobodnym krokiem, z niedbałym wdziękiem obnoszą skarby elegancji i smaku. Są teraz wielkiemi damami, dla ich wypielęgnowanych młodych ciał pieszczotą jest dotknięcie chłodnych jedwabi, mięsistych, lśniących aksamitów i puszystych gronostaji. Z uwagą śledzą je przybyłe tu na pokaz mód panie z wielkiego świata, właścicielki wielkich nazwisk, lub wielkich kont bankowych, patrzą z zachwytem na mistrzowskie kreacje, obnoszone przez piękne modelki, przeżywając złudzenia, że to są one same, że te suknie uczynią je takiemi, jakiemi być pragną. Obserwują je z pod zmrużonych powiek defilujące manekiny. pelerynka ze srebrnych lisów, obramieniem, z którego jak kwiat egzotyczny wykwita złocista główka na strzelistej, kształtnej szyi, z ich smukłych bioder w szlachetnej linji spadają fałdy draperii i kaskady strusich piór przysłaniają je tajemniczą koronką. To nic, że pokaz trwa tylko chwilę, że te możne damy zabiorą wspaniałe tualety i futra, a im pozostaną skromne sukienki z tanich magazynów, zostanie im za to przeświadczenie, że są piękne.

Nie każda dziewczyna może być manekinem, to ekskluzywny zawód dostępny tylko najpiękniejszym, pozostałe muszą



Na prawo: „kamelot" uliczny zachwala swoje towary.



Na lewo: Reklamy świetlne są nieodłącznym rekwizytem wielkomiejskiej reklamy.

znaleźć sobie inne pośledniejsze funkcje w służbie reklamy. Znudziły się żądnej wrażeń publiczności woskowe lalki w wystawowych oknach sklepów, nikt nie spojrzy na bezduszną kukłę, jest na to rada! zastąpi się lalkę z witryny żywą dziew-



Człowiek-reklama ściąga ciekawych do budy cyrkowej.

Na prawo: Żywe „Mickey-Mouse" reklamują na czele pochodu imprezę karnawałową w Paryżu.

czyną, to zatrzyma może na chwilę przechodnia. W oknie wystawowem ma się trochę wrażenie, że to klatka, jest się przez szybę oglądanym okazem, patrzą z ironją lub uwagą na zmechanizowane ruchy i zmieniające się napisy... „metale najlepiej czyści"... „trwały połysk nadaje"... To nie jest łatwem wytrzymać tak długo, nie można się śmiać, źle jest nawet patrzeć w twarze zwabionej tu ciekawością publiczności.

Żywa reklama przybiera najrozmaitsze formy. Po ulicach snują się korowody postaci z tablicami na plecach, polecają wysprzedaże i tanie tygodnie, ubrani w fantastyczne stroje reklamują filmy, ukazują się w karnawałowych olbrzymich maskach, żywcem przeniesionych z sylwestrowych pochodów w Nicei. Jadący na otwartej platformie ciężarowego samochodu, reklamującego „Nędzników" — Jean Valjean ma minę dopasowaną do swej roli, zastanawia się poważnie czy dzienny zarobek wystarczy na naprawę butów, krwiożerczy żandarmi natomiast nie wczuwają się w swe groźne role, niepokoją ich myśli bardziej zbliżone do rozważań ich więźnia.

Reklama wymyśla wciąż nowe tricki, stwarza najrozmaitsze kreacje: szczudła ukryte w długich nogawicach spodni czynią z przeciętnego człowieka olbrzyma, przechodzień zatrzyma się zafrapowany jego widokiem, cel jest więc już osiągnięty — przeczyta, że „lampy kupuje się tanio i w ogromnym wyborze"... Chodzenie na szczudłach miła zabawa w dzieciństwie, na śliskich kamieniach trotuaru staje się jednak ciężką pracą, każdy nieopatrzny ruch grozi upadkiem z paru metrów.

„Co gdzieindziej pięć, sześć złotych, u mnie najlepiej, najtaniej jeden złoty!... Uliczny przekupień na przedmieściach zachwala swe nędzne towary, jego fantazja i głos to jedyna reklama, jedyna możliwość sprzedania tych kilku gratów. Handel uliczny odbywa się bez skomplikowanego mechanizmu wielkich sklepów. Towar jest lichy, ale naprawdę najtańszy, nie trzeba tylko żałować ochrypłych okrzyków i zachęty jarmarcznej ciekawej gromadzie.

Opodal znów inna metamorfoza żywej reklamy: tam rozbił swe namioty wędrowny cyrk, jest w tej kuglarskiej budzie zawsze jakiś posmaczek „pajaców" i „człowieka, którego biją po twarzy" — coś z Chaplinowskiego „Cyrku", nieuchwytny urok tajemniczości i włóczęgi. Przed budą dyrektor reklamuje swoją imprezę, tu znany profe-



Na prawo: Wielkolud jest typową żywą reklamą.





Figuranci reklamują, jadąc na wozie, film wyświetlany przez jedno z kin stołecznych.

sor tak a taki, mistrz sztuki kuglarskiej, akrobata i chiromanta, zapewnia o cudach, jakie oglądać może każdy za skromną opłatą. Ubrany w zbyt obszerny frak, dźwięczący odznakami i orderami nieistniejących państw, jest groteskową parodją poważnej sylwetki prawdziwej znakomitości. Tłoczy się ciekawa publiczność, dzieci starają się wszelkiemi sposobami wedrzeć do wymarzonego kraju nieprawdopodobieństwa. Nad wszystkiem góruje wysoki przepity głos dyrektora kuglarza i chiromanty...

Kiedy noc zapada miasto pustoszeje, w swej izdebce na poddaszu śpi niespokojnie obnosiciel fantastycznej maski i reklamowanych ulotek. Gnębią go sny, że jest plikiem reklamowej bibuły i że każdy z przechodni bierze jedną kartkę i w końcu zostaje go coraz mniej, roztapia się, rozproszkowuje w tysiącznych zapewnieniach o zaletach kremu do rąk. Nagle się budzi i myśli o tem, że to tylko sen, — sen żywej reklamy. Tak zewsząd zastawia się sidła na kieszeń obywateli, działając na nich reklamą, będącą kupiecką sugestją.

Witold Mars.

„TRZEJ MUSZKIETEROWIE"

Trójka, która otrzymała na międzynarodowej wystawie psów w Meranie najwyższe odznaczenia. Fot. Schostal, Wiedeń.



CIEKAWE DROBIAZGI

NA BEZDROŻACH ABISYNJI.



Nietylko prasa europejska, ale również wojskowi wszystkich nieomal armij przyznali, że wojsko włoskie dokazało podczas kampanji abisyńskiej dzieła, jakiego dotychczas nie notowano w historji. Na równi z sukcesami strategicznemi Włochów należy postawić wspaniałą organizację techniczną kampanji, zwłaszcza działanie wojsk technicznych. Oto fragment marszu kolumn samochodowych wgłąb Abisynji.

NOWE DEKORACJE ŚCIAN.



W poszukiwaniu za nowemi wartościami artystycznemi w urządzeniu wnętrz, współcześni artyści miewają nieraz dziwne pomysły. Oto architekt londyński, Eugenjusz Mollo, wpadł na pomysł wykonywania fotografji na ścianach pokoju. Przed dokonaniem ciekawej fotografji przygotowuje się odpowiednio ścianę, przyczem pokój musi być przyciemniony, a cały proces fotografowania trwa przez jedną noc, poczem fotografja zostaje utrwalona. Jak twierdzą specjaliści, nowy wynalazek ma duże szanse powodzenia, w każdym razie stwierdzić można jego wartość jako zupełnie nowego sposobu ozdabiania mieszkania.

OLBRZYMIA TAMA W AMERYCE.



Jednym z najbardziej gigantycznych projektów budowlanych Stanów Zjednoczonych jest bezwątpienia plan olbrzymiej tamy Boulder na rzece Colorado. Tama ta nietylko okiełzna niespokojne wody tej rzeki, ale umożliwi osuszenie wielkich terenów. Ściana główna tamy posiadać będzie wysokość 223 metrów. Oto model przyszłej tamy, wystawiony w San Diego w Kalifornji.

WALKA WYBORCZA NA WESOŁO



W związku z rozpoczynającą się kampanją wyborczą w U. S. A., towarzystwo demokratyczne „Defenders of democracy" urządziło w Nowym Jorku wystawę olbrzymich obrazów ściennych, stanowiących ostrą satyrę na prezydenta Roosevelta i jego system rządzenia. Prezydent witający naród amerykański, zakuty w kajdany, przypomina tu groźnego satrapę, któremu sekunduje amerykański Stańczyk.

ZA ARMATAMI — PŁUGI.



Bezpośrednio prawie po zdobyciu danego terenu w Abisynji i umocnieniu jego posiadania, Włosi przystępują do podniesienia jego stanu ekonomicznego, sprowadzając dla ludności przedewszystkiem pługi i ucząc ją posługiwania się niemi. Na zdjęciu pierwsza lekcja orania nowoczesnym sprzętem rolniczym.

NOWOCZESNA KOBIETA CHIŃSKA



Błędnem jest uważanie dzisiejszych Chin za kraj zacofany, do którego nie dociera współczesność. Oto żywe dementi w postaci pięknej córki pierwszego prezydenta republiki chińskiej, Sun-Yat-Sena, miss Sally Sun, która bawi obecnie w miejscowości kąpielowej Waikiki na wyspie Hawai. P-na Sun jest studentką uniwersytetu w Honolulu i wysoce współczesną osóbką.

Dokończenie ze str. 11-ej.

kiej fali. Dzięki zastosowaniu promieni Roentgena poznajemy więc tajniki budowy kryształów, a właściwie tajniki budowy materji w ogólności.

Nietylko jednak dla celów teoretycznych ale i dla celów czysto praktycznych badania promieniami Roentgena dodają znaczne usługi. Przy pomocy promieni Roentgena można np. zbadać, czy jakiś kocioł żelazny mający potem wytrzymać bardzo wysokie ciśnienie nie posiada jakichś ukrytych i na zewnątrz niewidocznych pęknięć i pęcherzyków. Tak samo można badać i bada się faktycznie promieniami temi szwy powstające przy spawaniu konstrukcji żelaznych, n. p. wiązań mostowych. Zbadanie promieniami Roentgena i ewentualne wykrycie jakiejś ukrytej wady pozwala w takich wypadkach nieraz uniknąć groźnej w skutkach katastrofy. — Zagranicą wprowadzono nawet specjalny pociąg z aparaturą Roentgena, który zajeżdża na żelazny most kolejowy pozwalając na miejscu przeprowadzić potrzebne badania. Niema tam dzisiaj prawie żadnej większej fabryki z dziedziny przemysłu metalowego, któraby się mogła obejść bez aparatury Roentgena. Także i u nas kilka największych zakładów przemysłowych posiada taką aparaturę. Tak więc odkrycie Roentgena, które początkowo miało służyć wyłącznie dla celów lekarskich, okazało się cennym środkiem pomocniczym dla nauki i techniki wogóle. **Inż. J. A.**



Opowieść z EPOKI KAMIENNEJ

5-ty ODCINEK.

H. G. WELLS | **PRZEKŁAD W. de RICHE** | **ILUSTR. CHARLIE**

Eudena przyglądała się przez chwilę zwierzętom, a potem podeszła do do niego, usiadła i spojrzała mu w oczy...

Położyła mu trwożliwie rękę na ramieniu i wydała chrapliwy dźwięk, który oznaczał jego nazwisko. Odwrócił się i podniósł na rękach. Twarz miał bladą, jak człowiek wystraszony. Spojrzał na nią, a potem roześmiał się. „Waf", rzekł.

— Waf! — rzekła i na tem skończyła się ich rozmowa.

Teraz Ugh-lomi klęknął przy niej, wsparł się na rękach i kolanach i spojrzał w wąwóz. Oddychał już miarowo, krew z jego łydki przestała płynąć, chociaż rany, jakie mu zadała niedźwiedzica, były szerokie i otwarte. Usiadł i zaczął przyglądać się śladom łap niedźwiedzi, które zmierzały do rozpadliny. Były tak duże, jak jego głowa i dwa razy dłuższe. Potem zerwał się i przeszedł kilka kroków wzdłuż urwiska, dopóki nie zobaczył półki skalnej.

Teraz usiadł i zadumał się, a Eudena przyglądała mu się zdaleka. Niedźwiedzie odeszły.

Wkońcu Ugh-lomi wstał, jak człowiek, który obmyślił jakiś plan. Wrócił do rozpadliny i oboje spuścili się na półkę skalną. Zabrali krzesiwo i kamień do rozniecania ognia, a potem Ugh-lomi zeszedł ostrożnie do wąwozu i znalazł swoją siekierę. Wydrapali się spowrotem na szczyt urwiska i ruszyli naprzód. Półka skalna nie była już dla nich żadnem schronieniem ze względu na niebezpieczne sąsiedztwo. Ugh-lomi niósł siekierę, a Eudena kamień do rozpalania ognia. Zmiana mieszkania w czasach paleolitycznych nie przedstawiała trudności.

Szli wgórę rzeki, chociaż zaprowadzićby ich to mogło właśnie do siedziby niedźwiedzia jaskiniowego, ale nie było innej drogi. Wdole rzeki koczowało ich plemię, a czyż Ugh-lomi nie zabił Uyi i Waua? Musieli trzymać się rzeki, aby mieć wodę do picia.

Maszerowali tak przez las bukowy. Wąwóz pogłębiał się, a wdole, u ich stóp, w odległości jakich dwustu pięćdziesięciu metrów płynęła rwąca rzeka. Z wszystkich zmiennych rzeczy w tym zmiennym świecie, bieg rzeki zmienia się na końcu. Była to rzeka Wey, rzeka znana nam dzisiaj. Ugh-lomi i Eudena, pierwsze ludzkie istoty, które przybyły w te okolice — szli przez wyżynę, gdzie leżą dziś Guilford i Gedalming. Raz ukazała się i zniknęła jakaś wrzeszcząca szara małpa, wszędzie jednak, na brzegu urwiska, znajdywali ślady stóp wielkiego niedźwiedzia jaskiniowego.

A potem zauważyli, że w pewnem miejscu ślady niedźwiedzia zboczyły na lewo, ku krawędzi skały i skończyły się. Znaleźli się ponad leżącą u ich stóp wielką, półkolistą przestrzenią, utworzoną przez obsunięcie się skał. Runęły one wprost do wąwozu tak, że rzeka, powstrzymana w swoim biegu, utworzyła w tem miejscu wielki zbiornik, z którego woda opadała w kaskadach przez skalistą tamę. Skały musiały obsunąć się już dawno, gdyż porosły trawą ale ściany, zamykające zbiornik były jeszcze tak białe, jak w dniu katastrofy. U stóp skał widniały liczne otwory ciemnych jaskiń. A kiedy tak stali, spoglądając wdół, niepewni, gdzie się udać, gdyż przypuszczali, że legowisko niedźwiedzi znajdować się musi gdzieś w pobliżu, po stronie lewej, spostrzegli najpierw jednego, a potem dwa, na trawiastym stoku po prawej stronie... Zdążały w stronę pieczar. Andu szedł pierwszy; kulał trochę na przednią łapę i miał niepewną minę. Niedźwiedzica wlokła się za nim.

Eudena i Ugh-lomi cofnęli się wstecz, aby ich niedźwiedzie nie zauważyły. Potem Ugh-lomi zaczął obserwować zwierzęta; mimo, że towarzyszka nagliła go do ucieczki i stał z siekierą w ręku, dopóki nie zniknęły w jaskini. Mruknął z cicha i pogroził niedźwiedziom siekierą. Potem, zamiast uciekać wraz z Eudeną, która drżała ze strachu, położył się na brzuchu i zaczął skradać się na brzeg urwiska, aby mieć na oku wejście do pieczar. Chodziło o niedźwiedzie — ale czynił to z takim spokojem, jakby śledził króliki!

Leżał cicho, jak kłoda drzewa w cieniu. Rozmyślał. A Eudena wiedziała już od dzieciństwa, że kiedy Ugh-lomi trwał w milczeniu, z szczęką opartą na pięści, zanosi się na coś niezwykłego.

W ten sposób minęła godzina; było południe, kiedy dwoje małych dzikusów znalazło drogę na skały, zwieszające się nad pieczarą niedźwiedzi. A przez całe popołudnie pracowali w pocie czoła przy ogromnym głazie, przesuwając go, wyłącznie przy pomocy mięśni z rozpadliny, gdzie wisiał, jak chwiejący się ząb, na szczyt skały. Sięgał Eudenie do piersi, miał kształt okrągły, ale wiele ostrych krawędzi. A kiedy słońce zaszło, znajdował się o trzy cale od brzegu urwiska, ponad wejściem do jaskini niedźwiedzi.

W jaskini dnia tego nie kleiła się rozmowa. Niedźwiedzica pociągała nosem w kącie — gdyż lubiała mięso świń i małp — a Andu lizał łapę i obcierał paszczękę, gdyż zaognione rany sprawiały mu ból. Potem usiadł u wejścia do pieczary, spoglądając nieuszkodzonem okiem na popołudniowe słońce i rozmyślając.

— Nigdy w życiu nie spotkało mnie nic podobnego — rzekł wkońcu. — To dziwne zwierzęta. Napadły na mnie!

— Nie podobają mi się — rzekła niedźwiedzica z głębi jaskini.

— Nie widziałem słabszych zwierząt. Straszne czasy nastały! Nagie, cienkie nogi... Nie wiem, jak chronią się w zimie przed chłodem?

— Pewno się nie chronią — rzekła niedźwiedzica.

— Mam wrażenie, że to jakaś licha odmiana małp.

— Jakaś odmiana — rzekła niedźwiedzica.

Pauza.

— Udało się mu wyjątkowo — rzekł Andu. — Czasami się to zdarza...

— Dziwię się, że mu pozwoliłeś uciec — rzekła niedźwiedzica.

Sprawa ta była już omówiona i wyjaśniona. Dlatego Andu, jako roztropny niedźwiedź, trwał przez chwilę

w milczeniu. Potem przeszedł na inny temat.

— Ma on jakiś szpon — długi szpon, który widziałem u niego najpierw na jednej łapie, a potem na drugiej. Tylko jeden szpon. To dziwne istoty. A to świecące, które trzymają przy sobie — to, co przypomina blask, wychodzący czasem z nieba — tylko, że skacze... to jeszcze ciekawsze. Podobne to jest do trawy, chwiejącej się na wietrze, gdyż ma jakby korzeń.

— Czy to gryzie? — zapytała niedźwiedzica. — Jeśli to gryzie, nie może być rośliną.

— Doprawdy... nie wiem — rzekł Andu — ale to, bądź co bądź, dziwne.

— Ciekawa jestem, czy są smaczne? — rzekła niedźwiedzica.

— Wyglądają na to — rzekł Andu, oblizując się, ponieważ niedźwiedź jaskiniowy, równie jak niedźwiedź polarny, był niepoprawnym mięsożercą i nie szukał ani korzonków, ani miodu.

Oba niedźwiedzie zamyśliły się; słońce, którego promienie padały na zielone zbocze przed wejściem do pieczary, zaczęło dogrzewać.

— Ciekawa to rzecz — dzień — rzekł niedźwiedź jaskiniowy. — Mam wrażenie, że trwa za długo. Nie nadaje się do polowania. Zawsze mnie oślepia. I tracę węch w ciągu dnia.

Niedźwiedzica nie odpowiedziała, ale z ciemności doleciało ją krząkanie. Trzymała w łapach kość. Andu ziewnął. — I cóż? — zapytał. Zawlókł się do wejścia do pieczary i przystanął, wysuwając głowę naprzód i spoglądając na dolinę. Przekonał się, że musi zupełnie odwrócić głowę, aby widzieć przedmioty po prawej stronie. Nie wątpił jednak, że oko wygoi mu się do jutra.

Ziewnął znowu. Nagle usłyszał jakiś szelest w górze i wielki głaz spadł z wierzchołka skały, przeleciał tuż przed jego nosem i rozbił się na szereg nierównych części. Przeraziło go to niepomiernie.

Kiedy przyszedł do siebie po tym niespodziewanym wstrząsie, zaczął obwąchiwać z ciekawością większe kawałki spadłego pocisku. Miały wyraźny zapach, dziwnie przypominający mu dwoje zwierząt na skalnej półce. Usiadł i obmacał łapami jeden z większych odłamów, a potem obszedł go dokoła kilka razy, szukając człowieka... Kiedy noc zapadła, ruszył wdół rzecznej doliny, aby się przekonać, czy nie uda mu się pochwycić któregoś z mieszkańców półki skalnej. Ale nie było na niej nikogo, nie było śladu czerwonej, świecącej istoty... Andlu, który był głodny, nie wałęsał się długo po nocy, ale wybrał się na polowanie na jelonka, ale łania, która była w pobliżu, stoczyła z nim zaciętą walkę o swoje młode. Andlu porzucił jelonka, ale kiedy łania zaczęła go atakować, zadał jej w nos potężny cios łapą i zabił na miejscu. Miał więcej mięsa, ale mniej delikatnego; podzielił się niem z niedźwiedzicą, która szła w odwodzie. Rzecz dziwna, że drugiego dnia popołudniu spadł znowu wielki, biały głaz i rozbił się w kawałki, jak poprzedni.



Ujrzała dwa małe, okrągłe przedmioty...

Dopiero trzeci, który spadł następnej nocy, osiągnął cel. Ugodził on w nieprzemyślaną głowę Andu z głośnym trzaskiem, który rozległ się echem wśród skał, a białe szczątki rozleciały się na wszystkie strony. Niedźwiedzica, która wyszła za nim, znalazła go leżącego, z głową zniekształconą i wilgotną. Była jeszcze młoda i niedoświadczona, to też obwąchawszy i polizawszy towarzysza, postanowiła zostawić go, dopóki nie minie jego zły humor i wybrała się na polowanie sama.

Zaczęła szukać młodego jelonka, którego matkę zabili przed dwoma dniami i znalazła go. Ale polowało się jej źle bez Andu, to też wróciła do pieczary przed świtem. Niebo było szare i pokryte chmurami, drzewa w dolinie czarne i nieprzyjazne, a w jej niedźwiedzim umyśle zaczęły się budzić złe przeczucia. Otwarła paszczę i zawołała Andu po imieniu. Odpowiedziało jej tylko echo.

W pobliżu pieczary ujrzała w niepewnem świetle i usłyszała parę szakali... Zaraz potem zawyła hiena. — Pan skał i jaskiń — ya — ha! — doleciało do jej uszu. Niedźwiedzicę ogarnął nagle niepokój. Ruszyła w stronę pieczary.

— Ya — ha! — zawyły hieny, uciekając. — Ya — ha!

Niedźwiedź jaskiniowy nie leżał w tej samej pozycji, gdyż hieny nie próżnowały i w jednem miejscu obnażyły jego białe żebra. Dokoła, na ziemi, leżały rozbite szczątki trzech wielkich odłamów wapiennej skały. W powietrzu unosił się zapach śmierci.

Niedźwiedzica przystanęła. Nawet teraz nie przyszło jej do głowy, że wielki i wspaniały Andu został zabity. Potem usłyszała w górze jakiś szelest i jakiś dziwny głos, przypominający szczekanie hieny, ale pełniejszy i wyraźniejszy. Podniosła łeb, mrużąc małe oczka, a nozdrza jej drżały. I tam, na wierzchołku skały, na szarem tle nieba, ujrzała dwa małe, okrągłe przedmioty, głowy Eudeny i Ughlomiego, którzy jej wygrażali. Chociaż jednak nie widziała ich dobrze, mogła ich słyszeć i teraz zaczęła zwolna pojmować. W sercu jej zbudziło się nowe uczucie, strach przed nieznanem niebezpieczeństwem.

Zaczęła obwąchiwać szczątki wapiennej skały, leżące dokoła Andu. Przez chwilę stała bez ruchu, rozglądając się i jęcząc z cicha. Potem wróciła do Andu, aby po raz ostatni zachęcić go do powstania.

ROZDZIAŁ III.

W czasie przed Ughlomim ludzie i konie żyli od siebie z daleka — ludzie w bagnach rzecznych i zaroślach, konie na wielkiej, porośniętej trawą, wyżynie, między leszczyną i linją lasów szpilkowych. Czasami źróbek zabłądził na bagna w poszukiwaniu za paszą, a czasami plemię znajdowało konia, zabitego przez lwa i przepłoszywszy szakale, ucztowało wesoło, jak długo słońce stało wysoko na niebie. Dawniejsze konie miały grube pęciny, zmierzwiony ogon i wielką głowę. Przybywały z każdą wiosną w te okolice, zdążając na północny zachód, po jaskółkach i przed hipopotamami, kiedy bujna trawa pokryła wielkie równiny. Zapuszczały się tak daleko tylko w małych stadach, składających się zazwyczaj z ogiera, dwóch lub trzech klaczy i źróbka, zajmowały zawsze te same tereny i oddalały się, kiedy pożółkły drzewa leszczynowe i z gór Wealdenu zaszły wilki. (C. d. n.)

COCKTAIL FOR ONE...

Ginger Rogers odpoczywa w barze studja podczas przerwy w nakręcaniu nowego filmu. Fot. R.K.O.



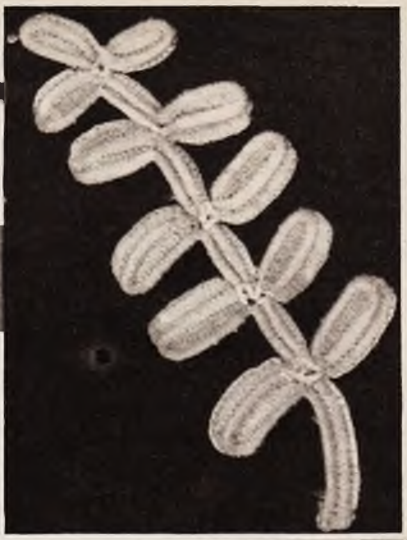
M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI IRLANDZKIE (IRYJSKIE)

I.



Wzór na wykonanie listka techniką irlandzką.



Listek akacji w technice irlandzkiej.



Ładna gałązka z listkami dla techniki irlandzkiej.

Do techniki szydełkowej zaliczamy także koronki irlandzkie, albo z angielska iryjskie.

Każdy rysunek wykonać można techniką irlandzką tak samo, jak techniką igiełkową. Ale nie każdy motyw wykonać da się naprzykład techniką klockową lub siatkową.

Zasadniczym ściegiem techniki irlandzkiej jest niski, nienawijany słupek. Nie wyklucza jednak ta technika i słupków raz nawijanych.

Koronki irlandzkie mogą mieć wielostronne zastosowanie n. p. serwety, żaboty, torebki, kołnierze a nawet całe bluzki.

Motywy irlandzkie układamy podług wzoru w obwodzie danego kształtu i zarabiamy tło, by się wszystkie szczegóły trzymały razem.

Tło może być także różnorodne, jak to widzimy na przedstawionej obok fotografji kołnierzyka. Mamy tutaj aż trzy rodzaje tła. Jedno drobne, gęste z samych ząbków łańcuszkowych, drugie rzadsze z ząbków łańcuszkowych z pikotami, a trzecie tło najrzadsze, gdzie ząbki łańcuszkowe obrobione są niskiemi słupkami.

Modne są obecnie bluzki włóczkowe, w których górna część, zwana gieską, zrobiona jest techniką irlandzką i utrzymana w innym kolorze, jak reszta bluzki. Liście więc gałązki i kwiaty mają tutaj efektowne zastosowanie.



Koronkowy kołnierzyk z zastosowaniem listków, różyczek i trojakiego zarabiania tła.

Przed 25 laty, kiedy koronki irlandzkie były bardzo modne, robiono całe białe bluzki z cieniutkiej bawełny właśnie tą techniką, a tła zarabiano rozmaitemi wzorkami, bo mamy przeszło 10 tych wzorów.

Motywy, które zareprodukuję w metodycznem przeprowadzeniu tej techniki, robione były przeważnie w owym czasie na kursie we Lwowie, na którym instruktorka z Wiednia uczyła właśnie tych nowości.

Technika wykonania.

Do szydełkowania gipiur irlandzkich używa się zwykle dwie bawełny, jedną bardzo grubą, a drugą bardzo cienką. Szydełkujemy cienką bawełną na grubej bawełnie, która przechodzi środkiem niskich słupków. Gruba bawełna pomaga nam nadawać kształt, bo na niej skupia się słupki, lub rozrzedza je. Gdy pociągniemy tę grubą nitkę, to kształt naszej roboty zaokrągli się.

Niekoniecznem jest jednakowoż tam i z powrotem szydełkować na grubej bawełnie. Można raz przerobić na grubej, zostawić ją wiszącą, a wracać zwykłemi słupkami bez grubej bawełny.

Listek naprzykład w środku powinien być szerszy, szydełkujemy więc środkiem słupki raz nawijane, a ku wierzchołkowi i ku szypułce robimy po kilka słupków niskich nienawijanych, bo w tych miejscach listek musi być węższy. Gdy w środku listka wyszydełkujemy kilka rządków i nadamy mu kształt, wtedy zabieramy bawełnę grubą wiszącą u wierzchołka i szydełkujemy z nią aż do końca szypułki. Wypukły więc brzeg obejmuje cały listek.

Robiąc słupki, wbijamy szydełko w oczko przez obydwie niteczki, ale technikę tę zastosowujemy przy robocie gałązek o drobniejszych listkach, a najczęściej przy kwiatach.

Przy listkach większych silnie zwykle wciętych, lub złożonych — nie używamy grubej bawełny zupełnie, tylko cały liść szydełkujemy bawełną dowolnej grubości. Cały liść robimy niskiemi słupkami nienawijanemi, wbijając szydełko tylko w jedną tylną niteczkę oczka. Po zrobieniu kilku takich rzędów widzimy już nie płaską płaszczyznę, ale górne wzniesienia i dolne rowki.

Liść taki zaczyna się łańcuszkiem w samym środku. Na jednym końcu łańcuszka będzie wierzchołek liścia, a na drugim końcu szypułka, jak to widzimy na reprodukowanych obok listkach różyczek i na liściu winogradu. Przy wierzchołku cofamy się w każdym rządku nie dorabiając 1—2 słupki, a na przeciwległym środku robimy 3 słupki w jednem oczku.

(c. d. n.).



Winne grono i listki stylizowane techniką irlandzką.

życie artystyczne

AS REŻYSERÓW FILMOWYCH W POLSCE



Na lewo. Obok Cecil de Mille'a i René Clair'a, Ernest Lubicz należy do najbardziej znanych i uzdolnionych reżyserów współczesnego filmu. Szukając nowych tematów i nowych inspiracyj dla swojej sztuki, Lubicz udał się ostatnio w towarzystwie swej małżonki do Moskwy. Na zdjęciu widzimy go wraz z żoną po przylocie na lotnisku warszawskiem



Z ŻYCIA TEATRALNEGO PROWINCJI.

Dobrze rozwijający się Teatr Ziemi Poznańskiej w Ostrowie Wlkp., stanął ostatnio na prawdziwie artystycznym poziomie, do czego przyczyniła się w wielkiej mierze zdolna artystka p. Marja Szczęsna, która wyreżyserowała również szereg sztuk teatru ostrowskiego. Doskonała aparycja zewnętrzna i wysoce artystyczna gra zjednały artystce ogólne uznanie.

WIELKI DRAMATURG I JEGO INTERPRETATOR



Znakomity dramat K. H. Rostworowskiego „Judasza z Kariothu" wprowadził na scenę polską w r. 1913 dyrektor krakowskiego teatru, Ludwik Solski, stwarzając równocześnie nieśmiertelną kreację arcyludzkiego Judasza, kreację, w której nie ma równego sobie następcy. Słusznie więc sam Rostworowski nazywa Solskiego współautorem „Judasza z Kariothu". W okresie Wielkiego Tygodnia przed mikrofonem krakowskiej rozgłośni Rostworowski i Solski wygłosili dialog o dramacie, którego fragmenty usłyszeli słuchacze całej Polski w niezrównanem wykonaniu Z. Jaroszewskiej, Ludwika Solskiego i artystów krakowskiego teatru.

GDY PANI
wybiera się w podróż

Czy jest coś piękniejszego nad podróże?... Odrywamy się wtedy od kręgu naszych codziennych zajęć, trosk, kłopotów, denerwujących spraw i ludzi, od tej nudy! Jakże często jest ona niedostępną towarzyszką tym, którzy zbyt długo przebywają w jednem miejscu zamieszkania. I oto jest pierwsza wspaniała, błogosławiona korzyść wszelkich podróży, choćby to były małe tylko „week-end'y". Zmiana otoczenia działa bowiem zbawiennie na skołatane nerwy współczesnego człowieka. Choćby dana podróż nie odznaczała się nawet zbyt wieloma możliwościami i ograniczyła do krótkiej przejażdżki, wpływ jej na system nerwowy — to jak odświeżająca kąpiel na znużone członki.

A ileż ponadto korzyści intelektualnych, bo podróż daje nam możność wzbogacenia wiadomości o świecie z autopsji, która jest najlepszym środkiem poznania. Rzeczy i sprawy, znane doskonale nawet z osłuchania, czy studjów, stają się prawdziwie naszą własnością dopiero wtedy, kiedy spojrzymy na nie swemi własnemi oczyma. To poznawanie świata przyrody czy kultury państw i narodów, to druga bogata krynica rzetelnej rozkoszy, doznawanej w każdej podróży.

Wiedzie nas w podróże chęć poznania, ciekawość i żądza wrażeń... Żadne z tych uczuć nie jest obcem ani niedostępnem współczesnej kobiecie, zależnej niejednokrotnie od siebie samej i swych własnych kapitałów. Często są to jakże skromne zasoby, gromadzone ciężką pracą i wyrzeczeniem się, byle tylko odłożyć na tę przyjemność z kategorji najwyższych, jaką jest możność odbywania dalszych czy bliższych podróży.

Kto zaznał ich raz w życiu, nie poprzestanie marzyć tak długo, aż zdobędzie się na odpowiedni wysiłek, by zamiłowaniom swoim dać wreszcie znowu folgę — i jechać. Znamy ten wyraz twarzy, upojonych wewnętrzną radością, gdy spojrzymy uważnie w oczy podróżnych, w pociągach, czy hotelach, czy w punktach specjalnie przez turystów uczęszczanych. Warto ich obserwować i naśladować, bo nikt z podróży nie wraca bez powiększenia kapitałów doświadczenia, najważniejszych, jakie gromadzić należy przez całe życie.

Ale by tak właśnie odczuwać radość podróżowania, trzeba się umieć do niej przygotować — umieć pakować walizy, by żadnemi kłopotami już nie zaprzątać głowy, której



Jasne gabardinowe płaszcze bardzo praktyczne na letnie podróże.



Ubiory podróżne na chłodniejsze dni. Skóra i przybranie z futra są wtedy brane pod uwagę.



Ubiory i walizki campingowe mają swój styl specjalny.



myśl skierowana jest ku wykorzystywaniu „wojażowania". Nie zaszkodzi przeto poświęcić trochę czasu przed wyjazdem z domu, aby zabrać ze sobą nietylko stosowną odzież. To zazwyczaj pamiętamy. Zapominamy natomiast drobiazgi, do których przyzwyczajamy się w domu i których potem, ach, jakże brakuje, przy kompletowaniu tualety, czy drobnych zabiegach kosmetycznych. Praktyczni Niemcy i dużo czasu na podróżach spędzający Anglicy, mają specjalnie drukowane tabliczki, zestawiające wszystkie konieczne w podróży drobiazgi. Warto iść ich śladem i w prywatnem zastosowaniu wykorzystać to udogodnienie, przygotowując sobie spis koniecznych w podróży zawartości bagażowych. Oszczędzi to nietylko czasu na poszukiwania w ostatniej chwili niezbędnych przedmiotów, ale będzie przy każdym następnym wyjeździe przygotowaną czynnością, zwłaszcza, gdy wykorzystamy porobione doświadczenia, czego brakowało lub co okazało się niekoniecznie najpotrzebniejszem. Im mniejsze bagaże, tem podróż przecież mniej kłopotliwa.

Mewa.

Biały płócienny kostjum nie zajmie wiele miejsca w walizie a przyda się bardzo w podróży.

Ciemny kostjum podróżny ożywia kołnierz i kamizelka z łatwej do prania piki.





Modny płaszcz podróżny w dużą kratę jest praktyczny i twarzowy.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ROSOŁ GRZYBOWY CZYSTY (kuchnia jarska). 2 dkg suszonych grzybów wymyć w ciepłej wodzie, a zalawszy gorącą wodą, pozostawić je przez noc, lub conajmniej na kilka godzin, aby naciągły. Następnie gotuje się je w tej samej wodzie z dodatkiem kawałka marchewki, pietruszki i cebuli. Ugotowane grzyby i jarzyne wyjmuje się ze smalcu, do którego dodaje się — po posoleniu, łyżeczkę masła i dwie łyżki osobno uduszonej kaszki krakowskiej oraz grzybki cienko pokrajane. Makaron z lanego ciasta również nadaje się do tego rosołu.

SZCZUPAK LUB SANDACZ SZPIKOWANY. Z oczyszczonej i odleżałej w soli przez godzinę ryby, ściąga się skórę z jednej tylko strony i tę właśnie stronę szpikuje się gęsto albo młodą słoninką, albo paseczkami sardelek. Następnie owiązuje się głowę ryby nitką, aby się nie rozpadła podczas pieczenia i układa rybę w całości, stroną szpikowaną do góry, na maśle, rozpuszczonem wąskiej brytwance. Rybę piecze się powoli przy częstem polewaniu masłem oraz śmietaną, której ma wyjść 1/4 litra. O ile się nie chce użyć śmietany ze względu na jej tuczące właściwości, można rybę polewać samym sokiem, wytwarzającym się podczas pieczenia, a po wyjęciu ryby na półmisek, podprawić pozostały sos sokiem cytrynowym i szczyptą cukru. Jako dodatek krokietki ziemniaczane lub makaron.

POTRAWA Z TWARDYCH JAJ. Odpowiednią ilość jaj ugotować na twardo, ołupać i przekroić na połówki. Płaską aluminiową rynkę wysmarować masłem, nałożyć na palec grubo duszonego ryżu lub ugotowanego makaronu, na to ułożyć połówki jaj, na każde jajko kładzie się pasek sardelki i troszkę smażonej cebulki, albo też w miejsce sardelek i cebulki posypuje się jaja siekaniną z szynki i kiełbasy, zalewa gęstą śmietaną tak, aby wszystkie jaja były przykryte, posypuje bułeczką i wstawia na 15 minut do piecyka i podaje w tej samej rynce, otoczonej serwetą.

SZYNKA SMAŻONA. Dość grube, np. na grzbiet noża płatki szynki macza się w lanem cieście ubitem z 2 jaj, łyżki octu, 5 dkg mąki i szczypty soli i kładzie się na rozpalonem na patelni tłuszczu, obrumienia z obu stron i podaje garnirowaną różnemi jarzynami lub tylko szpinakiem.

SZYNKA Z JAJAMI. Grubsze płatki szynki albo boczku osypuje się mąką, osmaża szybko z obu stron, układa na talerzu i kładzie na każdem sadzone jajko posypane szczypiorkiem i troszką papryki.

GOŁĘBIE NA DZIKO. Na ten cel można użyć trochę starszych, nie jak zwykle zupełnie młodziutkich gołębi. Oczyszczone i dobrze wymyte gołębie kładzie się do wystudzonego bajcu, nagotowanego z lekkiego octu i korzeni na 24 godzin. Wyjęte z bajcu i obsuszone czystą ściereczką, gołębie szpikuje się gęsto, kładzie na rozpalone masło, osmaża z wszystkich stron i podlawszy trozką wody, dusi się je do miękości. Pod koniec podlewa się gołąbki 1/4 l. śmietany, rozbitej z łyżeczką mąki, dusi jeszcze chwilę, następnie wyjmuje, przekrawuje na połówki, polewa na półmisku sosem, który powinien być gęsty i okłada francuskiemi kluseczkami lub makaronem.

SAŁATA Z BURAKÓW I SELERÓW. Kilka małych ćwikłowych buraków piecze się w piecyku. Mały dokładnie oczyszczony seler zalewa się zimną wodą, wsypuje troszkę kminku i gotuje do miękości. Obydwie jarzyny (buraki muszą być dokładnie ołupane i szybko obmyte) kraje się w cienkie plasterki, dodaje oparzoną i również pokrajaną cebulkę szalotkę, zalewa wszystko sosem majonezowym lub tylko oliwą i octem, soli i pieprzy, następnie miesza dobrą chwilę. Sałata ta nadaje się do wszystkich ciemnych mięs oraz drobiu.

BUDYŃ Z RESZTEK CIAST. Czerstwe resztki babek i strucli można zużytkować w rozmaity sposób. Jeden z nich podajemy: Odpowiednią ilość resztek ciast drożdżowych skrapia się mlekiem, tak aby dobrze nasiąkły. Osobno uciera się 2—3 żółtek z łyżką cukru. (nie więcej bo ciasta są słodkie), dodaje rozmoczone i roztarte ciasta, pianę z pozostałych białek i dwie łyżki suchych okruchów makaroników lub ciasta migdałowego albo też tartej suchej strucli. Masę układa się w formie budyniowej, przekłada powidełkiem porzeczkowem lub agrestowem i gotuje na parze godzinę. Podaje się z sosem waniljowym, owocowym lub szodonem z wina.

POTRAWKA CIELĘCA Z CYTRYNĄ (dla ozdrowieńców). Kawałek cielęciny ugotować w rosole z kości cielęcych z włoszczyzną i kawałkiem skórki cytrynowej. Z łyżki masła i tyleż mąki zrobić jasną zasmażkę, zalać małym kieliszkiem białego wina, rozprowadzić rosołem, dorobić smak solą, cukrem i sokiem cytrynowym, wkońcu podprawić żółtkiem, do rosołu tego wkłada się ugotowaną cielęcinę, zgrabnie pokrajaną i zaciąga chwilkę na blasze nie gotując więcej. Potrawkę podaje się posypaną siekaną zieloną pietruszką z grzankami lub krokietkami z bułki. Uwaga: Potrawy podawane chorym powinny być z specjalną pieczołowitością przybrane, aby sam ich widok pobudzał apetyt.

Sc. Ko.

ŁADNIE PODANY DRÓB



Ubieranie półmisków jest osobną sztuką, którą posiąść można studjując dobre przykłady, a także czyniąc doświadczenia w własnem gospodarstwie domowem. Obok reprodukujemy półmisek z pulardą, przybrany jarzynami, oraz salaterkę z zieloną sałatą.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 17 — **Kwiecień** — Dni 30
Niedziela **19** Emmy wd.	Rosół z jajem. Paszteciki z móżdżków w cieście lub na muszelkach. Gołębie na dziko z kluseczkami francuskiemi. Bezy z kremem kawowym. Kolacja: Wędliny w sałacie włoskiej.
Poniedziałek **20** Agnieszki p.	Barszcz czysty z knedelkami szpikowemi. Szynka smażona w cieście z purée ziemniaczanem. Pieczeń cielęca z jarzynami. Kompot z śliwek suszonych lub z konserw. Kolacja: Kiełbasa smażona z jajami.
Wtorek **21** Anzelma b.	Zupa cytrynowa z ryżem. Wątróbka cielęca w sosie z ryżem. Zrazy zwijane z grzybkami. Budyń z czerstwych ciast z szodonem. Kolacja: Potrawa z twardych jaj i sardeli.
Środa **22** Sotera i Kaja	Kapuśniaczek. Wędzonka z purée grochowem. Potrawka cielęca na cytrynie z knedelkami bułczanemi. Galaretka z pomarańczy. Kolacja: Szynka z jajami.
Czwartek **23** Wojciecha bisk.	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z sałatą z buraków i selerów. Kura z rosołu z sosem béarnaise i ziemniaczkami. Kompot z rabarbaru. Kolacja: Hachée z mięsa w omletach.
Piątek **24** Jerzego m.	Rosół grzybowy czysty z kaszką. Duża fasola biała z masłem i bułeczką. Sandacz lub szczupak szpikowany z makaronem. Naleśniki z powidełkiem wiśniowem. Kolacja: Sardynki, sery, chleb z masłem.
Sobota **25** Marka ewang.	Pomidorówka z ryżem. Kotlety z włoskiej kapusty. Polędwica po angielsku z garniturem z jarzyn. Suflet z konfitur mieszanych. Kolacja: Zimna polędwica z sosem tatarskim.

AS Kupon konkursu na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki
Nr. 16 z dnia 19 kwietnia 1936 r.


CHARLIE
MIŚ i ZDZIŚ
przygody dwóch młodzieńców
9. NIEWIASTA O KAMIENNEM SERCU
①
MIŚ: PATRZ, JAKA PIĘKNA KOBIETA!
ZDZIŚ: NIE PIĘKNA, LECZ CUDNA! MUSIMY ZWRÓCIĆ NA SIEBIE JEJ UWAGĘ,...
②
MIŚ: SKOKIETUJ JĄ, ZDZISIU...
ZDZIŚ: WYSTARCZY BYM SIĘ RAZ UŚMIECHNĄŁ...
③
MIŚ: FUSZER JESTEŚ! PUŚĆ MNIE NAPRZÓD. POKAŻĘ JEJ KILKA SZTUK GIMNASTYCZNYCH!
④
ZDZIŚ: JAKOŚ NIE WYWARŁEŚ WRAŻENIA...
⑤
ZDZIŚ: SZKODA, ŻEBYŚ SIĘ MĘCZYŁ!...
INSTITUT DE BEAUTÉ
⑥
- - - - - - - - - - - - - - - - ?!..
CHARLIE

To warto poznać...



Mieczysława Ćwiklińska na swój jubileusz wybrała sztukę Grzymały Siedleckiego **„Spadkobierca"**, która ukazała się w **Teatrze Narodowym w Warszawie.** Komedja ta, która operuje przeważnie figurami i sytuacjami dawnego typu, grana już była w teatrach polskich przed kilku laty, a obecnie w Warszawie pozwala zarówno Ćwiklińskiej, jak i Zelwerowiczowi i Węgrzynowi na stworzenie bardzo dobrych ról. Obok nich Żeliska, Janecka Kamińska, Łapiński, Dominiak i Śledziński grają doskonale, a wybornie przygotował całość jako reżyser Stanisławski.

W **Teatrze Polskim** wystawiono szukę Devala w 10 odsłonach **„Rodzina Massoubre"**, sztukę pomysłem autorskim przypominającą Bus-Feketego „Urodziny", gdyż przedstawia koleje życia bohaterów od lat dziecinnych po późną starość. Większych wartości ideowych i artystycznych utwór ten nie posiada, grany poprawnie, zwłaszcza znakomity jest Fritsche. Natomiast Junosza-Stępowski niepotrzebnie tkwi w złej roli.



Janina Biesiadecka bawi na gościnnych występach w Teatrze Kameralnym w Częstochowie.

Teatr Wielki we Lwowie wystawił reportaż aktualny R. Niewiarowicza i P. Otockiego **„Korespondent Wasz donosi"**. Utwór ten osnuty jest na tle wojny włosko-abisyńskiej, a głównym bohaterem jest osoba legendarnego pułk. Lawrence'a. Sztuka głębszej wartości nie posiada, jest awanturniczą historją filmową, względnie dobrze zrobioną plotką. Natomiast realizacja sceniczna tej sztuki stoi na bardzo wysokim poziomie, a wiele świetnych pomysłów dostarczył sztuce reżyser Bronisław Dąbrowski. Lawrence'a żywo i sugestywnie gra Krasnowiecki, kobietę szpiega subtelnie Niczewska, a świetnym jako szef japońskiego wywiadu jest Krzemieński. Kański, Kireniówna, Dąbrowski, Stępowski, Leliwa, Brochwicz i inni grają z dużem powodzeniem.

W **Teatrze Kameralnym w Częstochowie** dyr. Kazimierz Brodzikowski wystawił ostatnio Rittnera **„W małym domku"**, gdzie wraz z gościnnie występującą, doskonałą artystką J. Biesiadecką, stwarzają dwie świetne kreacje. Równocześnie Teatr Kameralny z dużem powodzeniem gra sztukę Fodora „Matura", w której Biesiadecka i Święcicka w rolach nauczycielek, a Irena Tomaszewska w roli Katarzyny Wagner, święcą zasłużone sukcesy artystyczne.

Teatr **im. Stanisława Wyspiańskiego** (dawniej Teatr Polski) w Katowicach, gra obecnie komedję Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej **„Powrót mamy"**, w której zaangażowana obecnie Zofja Marcinowska gra rolę żony z umiarem i dużą kulturą aktorską.

W Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie w okresie świątecznym ukazała się ciekawa sztuka amerykańskiego pisarza Emmet'a Lavery'ego **„Pierwszy Legjon"**, obrazująca życie w Kollegjum Jezuitów oraz poruszająca zagadnienie rozumu i wiary. Sztuka ta przełożona przez Teofila Trzcińskiego, wprowadzona na scenę polską przez dyr. Frycza, wzbudziła duże zainteresowanie i dyskusję wśród teatralnej publiczności. Przygotował ją reżysersko bardzo dobrze J. Karbowski, a wszyscy wykonawcy W. Nowakowski, W. Staszewski, W. Wonik, K. Fabisiak, T. Kondrat, Z. Modzelewski, J. Karbowski, W. Macherski, S. Turski i T. Burnatowicz, grają świetnie, niejednokrotnie stwarzają wprost znakomite kreacje.

(swb).

NOWE KSIĄŻKI.

Wprawdzie w kołach literackich kursuje satyryczny epigram „Bardzo się zasmucę, jak przeczytam „Gruce", to jednak mogą czytelnicy z dużem zainteresowaniem sięgnąć po najnowszą powieść pary autorskiej **Anny i Jerzego Kowalskich „Gruce"**. Powieść ta w objętości dwóch tomów, liczących zgórą 1300 stron, ukazała się nakładem F. Hoesicka i cieszy się dużą poczytnością. Obrazuje ona dzieje suplenta gimnazjalnego Leona Grucy i jego kuzynki, młodziutkiej Maliny. Dokoła tych dwóch osób grupują autorzy dziesiątki innych, z których wszystkie wyposażone są w obfitość materjałów dobitnie ich charakteryzujących. Charakterystyki te zebrane są z dużą umiejętnością obserwacji i trafnością ujęcia. Refleksje autorów są niejednokrotnie ciekawe, styl najczęściej potoczysty, a opisy miejskie (Lwowa), oraz miejscowości wiejskich, kreślone z dużą plastyką.

Nakładem „Roju" ukazały się drugie wydania dwóch poczytnych zbiorów reportaży: **Zofji Kossak-Szczuckiej: „Szukajcie przyjaciół"** — jest to kilka barwnych i interesujących obrazów z „Jamboree" na Węgrzech, oraz kpt. M. B. **Lepeckiego „Sybir bez przekleństw"**. Ta książka jest opisem podróży kpt. Lepeckiego do miejsc zesłania Marsz. Piłsudskiego na Sybirze.

W sezonie wiosennym podmiejskie okolice zaroiły się od amatorów jazdy konnej. Wszyscy powinni sięgnąć po niezwykle wartościową dla nich książkę mjr. **Adama Królikiewicza**, wybitnego znawcy sportu jeździeckiego i niejednokrotnego triumfatora zawodów międzynarodowych, który owoce swego długoletniego doświadczenia i praktyki zebrał w ładnie przez Główną Księgarnię Wojskową wydaną książkę **„Jeździec i koń w terenie i w skoku"**. Mjr. Królikiewicz jest zwolennikiem metody jeździeckiej właściwej, która polega na wiedzy, cierpliwości i stopniowaniu wysiłków, oraz umiejętności zastąpienia siły i gwałtu. Konia bowiem trzeba poznać, zgłębić jego psychikę i postępować z nim bardzo łagodnie.

Książkę krótką a dowcipną przedmową zaopatrzył gen. Wieniawa-Długoszowski, świetny kawalerzysta i literat. Pisze on m. in.: Nam Polakom wydaje się niestety nazbyt często, że w dziedzinie sztuki jeździeckiej tradycyjne dziedziczne zdolności starczą za wszystko. Dlatego nie od rzeczy będzie przypomnieć w tem miejscu słowa genjalnego wynalazcy Edisona, który zapytany raz o istotę genjuszu, odpowiedział: — Genjusz to 99 procent pracowitego potu i jeden procent natchnienia...

Zawarte w książce mjr. Królikiewicza — zdaniem Wieniawy-Długoszowskiego — „jasne, proste, a systematyczne wskazówki i rady w jaki sposób należy pracować nad sobą i koniem, aby opanować skoki nietylko dla celów konkursowych, lecz także w celu zdobycia koniecznej swobody w poruszaniu się w terminie, będą nieocenioną pomocą dla każdego prawego kawalerzysty, dla każdego rzetelnego jeźdźca". **(b)**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 19 kwietnia.

9.30: Transmisja nabożeństwa.

11.00: „Na polskim transatlantyku" — feljeton J. Podoskiego.

11.15: Transmisja uroczyst. odsłonięcia pomnika Jana Kilińskiego.

12.03: Poranek muzyczny z sali teatru Roman.

14.15: Dalszy ciąg transmisji z odsłonięcia pomnika Jana Kilińskiego.

15.30: „Świeczka zgasła" — komedja w Teatrze Wyobraźni.

16.45: Wielki koncert życzeń.

18.45: Pan Kotek był chory — słuchowisko z warjacjami ze wszystkich rozgłośni Polsk. Radja

21.00: Na wesołej lwowskiej fali.

22.15: Koncert reprezentac. z Torunia.

Poniedziałek, 20 kwietnia.

12.15: O pokazach i spędach owiec — pogadanka.

12.25: Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego.

15.30: Muzyka polska.

16.15: Utwory kompozytorów polskich, w wykonaniu Lucyny Robowskiej (fort.).

16.45: „Zgadnij kto mówi!" — zbiorowa audycja ze wszystkich rozgłośni.

17.05: Koncert reprez. rozgłośni wileńskiej.

18.35: „Płyta jubilatem" — reportaż ze Lwowa.

19.45: Moje wrażenia przed mikrofonem — dr T. Boy-Żeleński.

20.00: „Casanova" — opera komiczna w 3 aktach Ludomira Różyckiego.

23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek, 21 kwietnia.

12.30: Koncert południowy orkiestry P. R.

15.30: Piosenki ludowe i dworskie.

16.15: Utwory polskie w wyk. Ork. Kameralnej A. Hermana.

16.45: Koncert w wykonaniu ork. wojskowej.

17.00: Skarby Polski — „Przemysł hutniczy" — odczyt inż. Ignaszewskiego.

19.30: Wywiad.

20.00: „Rola społeczna i kulturalna Polskiego Radja" — odczyt b. premjera J. Jędrzejewicza.

20.30: Koncert europejski z Paryża.

21.30: Zagadki czterowierszowe w oprac. Teodora Bujnickiego.

21.45: Koncert Małej Orkiestry Polskiego Radja.

22.45: „O polskich podróżnikach i badaczach podbiegunowych".

23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 22 kwietnia.

12.15: „Radjo w świetlicy wiejskiej, fabrycznej i żołnierskiej".

12.35: „Tysiąc taktów muzyki", zespół Stefana Rachonia.

15.30: Koncert orkiestry 57 p. p.

16.00: „Historja o drewnianym żołnierzu" — słuchowisko w wykonaniu ociemniałych dzieci.

16.25: Zagadka muzyczna.

17.20: Koncert reprezentac. Rozgłośni Warszawskiej.

20.15: Szopka radjowa Tadeusza Strzeleckiego.

20.55: Wywiad z Tadeuszem Bocheńskim.

21.00: XXXIII Audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".

21.40: Miniatury poetyckie.

22.15: To są wspomnienia.

Czwartek, 23 kwietnia.

15.30: Muzyka lekka.

16.00: „Wciąż bez wąsów" — audycja dla dzieci.

16.15: Sonata G-dur Henr. Melcera.

16.45: Dowcipy radjowe — red Jan Piotrowski.

17.00: Koncert reprez. Rozgłośni Krakowskiej.

18.30: Sąd nad sportem — zbiorowa audycja ze wszystkich rozgłośni P. R.

19.43: Wywiad z uczestnikami uprowadzenia więźniów politycznych

20.00: Koncert symfoniczny Orkiestry broadcastingu angielskiego. Transm. z Wiednia.

23.10: Muzyka taneczna.

Piątek, 24 kwietnia.

12.55: Audycja dla chorych.

15.30: Koncert zespołu Wiktora Tychowskiego.

16.30: Koncert reprez. Rozgłośni Lwowskiej.

18.30: „Skarby Polski" — „Przemysł metalurgiczny".

19.30: Wielki koncert polskich orkiestr symfonicznych.

22.01: Jak powstaje słuchowisko, groteska.

22.35: Muzyka taneczna.

Sobota, 25 kwietnia.

12.25: Koncert w wykonaniu zespołu salonowego.

14.30: „O Jaśku, co się z Rokitą założył" — słuchowisko dla dzieci.

15.00: Koncert w wykonaniu orkiestry 1 p. p. leg.

15.30: Muzyka lekka.

16.15: Anegdoty o speakerach.

16.45: Koncert reprez. Rozgłośni Katowickiej.

19.00: „Kwiat paproci" — operetka.

21.35: 25-lecie Polskiego Radja — audycja wesoła M. Hemara.

22.05: Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.